Nr 31 (1593). Warszawa, 5 sierpnia 1911 r. Rok XXXI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

„Jedyny wróg“.

Ten, ktoby wiedzę o stosunkach społecznych w naszym kraju czerpał wyłącznie z organów skrajnej *lewicy*, musiałby nabrać przekonania, że jedynym, prawdziwie groźnym wrogiem klasy robotniczej w Polsce jest *Towarzystwo Kultury Polskiej* a zwłaszcza tegoż T-stwa Oddział V, którego specjalnym zadaniem jest niesienie ludowi oświaty w drodze odczytów i wykładów.

Nie jest to naszym tylko wrażeniem. Już w łonie samej *lewicy ortodoksów* spostrzeżono, że walka z inteligencją oraz tępienie oświaty, przez nią szerzonej, wyczerpuje cały zasób energji rewolucyjnej naszych obozów skrajnych. *Nowe Życie*—pismo, pragnące służyć interesom ludu roboczego i żądające ścisłego odgraniczenia proletarjatu od burżuazji w imię klasowego przeciwieństwa—niemniej wszelako uderza na trwogę, w jednym z zeszytów ostatnich, z powodu ciemnego szaleństwa, z jakim *Wolny Głos* zwalcza T. K. P., to najpoważniejsze dziś w kraju ognisko oświaty, postępu i wolnej myśli. Z ironją piekącej goryczy pismo to stawi pytanie: Czy zaciekle ponawiane ataki na tego w r o g a są istotnie jednym z najpilniejszych zadań cywilizacyjnych?

Cóżbyśmy istotnie rzekli o człowieku, który będąc w lochu głębokim i ciemnym uwięziony, postanawia rozwalić mur, aby wydostać się na wolność; i który wyszukać musi w murach szczelin i rysów pęknięcia, lecz zaczyna od tego, iż ubożuchny kaganek, który płonął w jego ręce, rzuca na ziemię i depce, jedyny, który oświetlał jego kroki w ciemności? A depce i niweczy go dlatego, iż znienawidził bezgraniczną nienawiścią całą swą więzienną dolę i, w jednakim kręgu pogardy zamykając zło i dobro, nie umiał rozpoznać czynników ucisku od czynników wyzwolenia!

Cóżbyśmy rzekli o rozumie tego człowieka?.

A przecież tak właśnie postępują u nas skrajni ideolodzy i doktrynerzy marksizmu: pragną zburzyć ustrój kapitalistyczny i przeobrazić na nowych podstawach formy obecnego współżycia obywateli,—więc... wypowiadają walkę T-stwu Kultury Polskiej i gaszą tę jedyną pochodnię myśli krytycznej, która sprzyja rozwinięciu samowiedzy w masach, która w nich budzi potrzeby kulturalne i wznieca żądzę ich zaspokojenia.

Robotnik, w murach fabryki, przykuty do maszyny, staje się sam mechanizmem; staje się kombinacją kilku elementarnych ruchów, dopełniających ruchy maszyny. Jego czucie zamiera; wrażliwość tępieje, myśl zwija skrzydła. Położenie jego jest straszne, ale w interesie dziejowym potrzeba, aby *sam* zdawał on sobie sprawę ze swego położenia; w tym akcie odczucia przezeń swej krzywdy żadna doktryna go nie wyręczy; pracując, jako automat przy warsztacie fabrycznym, pozbawiony myśli i woli, musi on jakimś *niezależnym* zakątkiem świadomości żyć i myśleć, aby ocenić hańbę i upośledzenie tej swojej bezwoli i bezmyślności, bo inaczej straci wartość, jako ludzka siła czynna, przy budowie wielkiego gmachu przyszłości.

Ażeby wszakże w umysłowości robotnika wzbudzić i utrzymać przy życiu owe ośrodki *niezależności* duchowej, mogące stawić opór potęgom automatyzmu, musi ten robotnik, gdzieś po za swym warsztatem, po za trybami swej maszyny, uczestniczyć w systemie pracy wolnej, musi gdzieś odetchnąć swobodą. Powietrzem ducha jest swoboda; kto znikąd zaczerpnąć jej nie może, w tym duch wątleje i kona. Otóż dla nas atmosferą wolności, dziś jedynie dostępną, jest uczestniczenie w rozwoju kultury; praca myśli twórczej staje się oparciem naszej godności.

Mękę niewoli odczuje ten tylko, kto w duchu już jest wolny i kto umie być wolnym. To pokolenie

szlacheckie, które przeżyło zgon Rzeczypospolitej pogodnie i obojętnie, ciesząc się jeszcze niepodległością, nosiło już w sobie dusze niewolników, albowiem nigdzie, w żadnej dziedzinie, nie czuło potrzeby wolności swej realizowania, a przeto pozbyło się jej, jako próżnego ciężaru. Natomiast człowiek, przykuty nawet do taczki Sybirskiej, pozostanie nieujarzmionym i wolnym, jeśli wiarą, tęsknotą i męką uczestniczyć będzie w wysiłkach stającego się życia.

Socjalizm otwiera przed robotnikiem drogi wyzwolenia, podaje mu środki wydźwignięcia się z twardej doli. Lecz jakie siły i czynniki zjednają proletarjat dla socjalizmu? Jaka potęga pchnie go w rozwarte ramiona tej wiary nowej, mającej stworzyć z przyszłości Ziemię Obiecaną? — Nie łudźmy się bowiem! Propaganda socjalistyczna wszędzie idzie nadzwyczaj tępo, a u nas tępiej, niż zagranicą. Zdawałoby się przecież, że ten, kto raz miał już możność spojrzeć w świetlane oblicze przyszłości przez pryzmat nowej ewangelji, ten przynajmniej na zawsze wierności jej dochowa. Gdzież tam! Nietylko nawracnie niewiernych idzie oporem, ale i z utrzymaniem już nawróconych bywa dużo trudu. Raz po raz zdarzają się apostazje. Wszak byliśmy świadkami, jak w czasach po-rewolucyjnych robotnicy niby już „uświadomieni" gromadnie odpadali na łono Narodowej Demokracji, bah! nawet cofali się jeszcze niżej aż ku kościelnym progom Demokracji Chrześcjańskiej.

Czym-że się to dzieje?

Odpowiemy: brakiem kultury! brakiem oświaty!

Socjalizm, zwalczający działalność oświatową śród ludu zamyka przed sobą poprostu dostęp do gruntu ludowego. Proletarjat bowiem, aby odczuć i zrozumieć niedolę swego bytu, zdobyć musi uprzednio pewne *minimum* rozwoju umysłowego. Ten kto się opiera na zastoju, na bierności, na ślepocie ludu roboczego — szowinista narodowy albo klerykał— kto głosi *status quo ante*, temu zautomatyzowanie robotnika jest na rękę; ale kierunek, który chce widzieć w nim *budowniczego przyszłości*, zapewnić winien ludowi udział jaknajszerszy w życiu kulturalnym, spokrewnić go z tętnem wysiłków całej ludzkości; robotnik naprzód uczuć się musi człowiekiem i obywatelem poza fabryką, w świecie ogólnoludzkiej kultury, ażeby w fabryce mógł i chciał walczyć o swe prawa ludzkie; wówczas, na tym dopiero poziomie, skorzysta on z usług socjalizmu; wówczas dopiero do socjalizmu dojrzeje. Niechaj więc nasi apostołowie i ewangieliści marksizmu nie usiłują u bram fabrycznych stawić rogatek dla pochodu cywilizacji i zmieniać życie fabryczne w jakąś pustynię duchową, gdzie hula dziki rozkaz i ślepy waruje posłuch. Pamiętaćby powinni, że na smyczy posłuszeństwa człowieka zawlec można na dno zbydlęcenia, ale—ku szczytom go się nie porwie!

Śród kapitału i pracy.

Łódź jest wcieleniem całej oschłości i brutalności życia. Cała jej treść życiowa, wszelkie ideały wyrażają się w cyfrach. Człowiek—to cyfra, ale jaka?! Ktoś powiedział o Łodzi, że w niej się zaczyna *człowiek* dopiero od miljona. Niższa cyfra, to już podczłowiek; a ten, co nie posiada ani miljonów, ani tysięcy ani nawet setek, lecz tylko ręce lub głowę do pracy—to już ani podczłowiek, ani cień ludzki; to coś, czego nawet miljony nie nazywają po imieniu. To jest jakaś czarna lub szara zbiorowość, którą się mierzy na łokcie lub arszyny, stosownie do tego, na jakie rynki idzie towar, przez tę zbiorowość wytworzony.

Odpowiednio do klasyfikacji „człowieka" traktuje się go na ulicy, w domu, w „interesie". (W Łodzi wszystko jest „interesem": fabryka, sklep, dom bankierski, lichwa, dobrze zrobiona „plajta", dobrze podpalony skład towarów i t. d.). Jeżeli miljon spotyka na ulicy trzysta tysięcy, kłania się lekkim dotknięciem dwoma palcami ronda kapelusza. Jeżeli spotyka sto tysięcy, kłania się podniesieniem ręki do kapelusza. Jeżeli zaś się kłaniają dziesiątki tysięcy, miljon odpowiada dotknięciem ronda kapelusza laską. Na ukłony zaś tych, co mają tylko ręce lub głowę, zwykle odpowiada się lekkim kiwnięciem nosa, lub nawet wcale się nie odpowiada.

Oczywiście i tu bywają i chwile i wyjątki, kiedy się nawet głową i rękoma kłania po europejsku, demokratycznie. Bywają nawet pewne roboty społeczne lub dobroczynne, na których miljony spotykają się z rękami i głowami i przyzwoicie z nimi się witają.

Wogóle jednak wszelka praca społeczna na gruncie łódzkim jest bardzo ciężka i niewdzięczna. Łodzi nikt nie kocha, nikt do niej przywiązać się nie może. Nie lubią jej miljonerzy, nie lubią urzędnicy, kantorzyści, robotnicy, proletarjusze; nie lubią nawet bandyci, którzy po każdej „robocie" starają się pono jaknajbardziej od Łodzi oddalić. Każdy traktuje to ognisko wielkiej produkcji jako coś przejściowego i zarazem obcego dla siebie. Kapitalista nie cierpi Łodzi i chętnie, o ile tylko może, przesiaduje daleko poza nią, np. w Berlinie lub gdzieindziej. Kupiec i każdy inny przedsiębiorca chciałby jaknajprędzej zrobić majątek i pożegnać Łódź i radby uciec z niej pierwszym lepszym pociągiem. Ci, co tu mieszkają po lat kilkadziesiąt, wcale się nie przywiązali do Łodzi i ciągle ją uważają za etap przejściowy w swym życiu.

Nietylko Łódź, ale i ludzi łodzianie traktują obojętnie i wcale się do nich nie przywiązują. Niech umrze, albo opuści to miasto na zawsze człowiek, który się cieszył szeroką sympatją, uznaniem, z którym wszyscy się liczyli i cenili jako jednostkę uczynną, nie przeciętną, skorą do ofiar i poświęceń na rzecz ogółu, wkrótce łodzianie o nim zapomną. Fala życia bieżącego spłucze im z mózgów i serc tę postać.

Czy w takich warunkach, na takim tle może się rozwijać pomyślnie praca kulturalna? Zresztą, kto tej pracy może poświęcić swe siły, czas i środki? Takie jednostki w mieście, liczącym pół miljona ludności, można policzyć na palcach. Widzimy je wszędzie, we wszystkich instytucjach, we wszelkich komitetach, komisjach, towarzystwach. Ci sami zawsze i wszędzie! Pracują nad siły, robią niekiedy nad możność. Walczą z trudnościami, a często z przykrościami, narażają niekiedy swoją miłość własną i godność dla dobra społecznego. Gdyby tych jednostek nie było, Łódź byłaby pustynią pod względem kulturalnym. Owe jednostki, posiadające dar organizatorski, tworzą i ożywiają instytucje, gromadzą członków, zrzeszają senne i obojętne koła ludzi, a nawet zaprawiają ich do pracy i powoli wytwarzają śród nich poczucie obowiązków społecznych.

Przez długi czas takim ogniskiem kulturalnym, skupiającym w sobie wszelką działalność społeczną, było Towarzystwo Hygieniczne (oddział Warszawskiego). Wszystko, co się tylko dawało, podciągano pod skrzydła hygjeny, i to całkiem logicznie, nawet nie przekraczając ram ustawy tej instytucji. Była więc tam i kwestja oświatowa, i urządzenia gospodarki

miejskiej, a więc sprawy samorządu, i szpitalnictwo, i mieszkania dla robotników, i upiększenie miasta, i praca naukowa i t. d.

Z chwilą pozyskania wolności zrzeszania się, Towarzystwo hygjeniczne przestało być instytucją uniwersalną, a więc siłą rzeczy straciło swą pierwotną żywotność. Działalność społeczna i kulturalna zróżniczkowała się, rozpadła się na grupy: w Oddziale Towarzystwa Kultury Polskiej, w Towarzystwie oświatowym „Wiedza", w „Towarzystwie krzewienia oświaty", w „Lidze przeciwgruźliczej" i t. d.

Warto się przyjrzeć działalności tych zrzeszeń, a przedewszystkim—Towarzystwu krzewienia oświaty, jako instytucji, której zadaniem jest szczera demokratyzacja nauki śród mas. Towarzystwo to istnieje od października r. 1907, t. j. od pierwszego ogólnego zebrania po ulegalizowaniu. W okresie poprzedzającym, t. j. pomiędzy grudniem r. 1905 a październikiem 1906 czynna była tylko sekcja nauczania analfabetów, która w ciągu tego czasu około 1000 uczniom, podzielonym na 34 grupy, udzielała nauki czytania, pisania i arytmetyki.

„Jeżeli rezultaty pracy—czytamy w pierwszym sprawozdaniu—mierzone zwłaszcza skalą potrzeb mas ludowych, wydawać się mogą niedostatecznymi, to winny są temu różne czynniki, które ustawicznie paraliżowały usiłowania zarządu. Do nich należą: kolizje z władzami, które najrozmaiciej pojmowały przepisy o nauczaniu i odczytach, zacietrzewienie sfer zachowawczych wszelkich wyznań i narodowości, wrogie stanowisko względem Towarzystwa sfer zamożnych, brak poparcia ze strony nawet inteligentniejszego ogółu, który chętnie sarka na brak oświaty, wyjątkowo jednak tylko zdobywa się na czynny udział w zwalczaniu ciemnoty".

Najgorsze warunki miała Sekcja Nauczania Analfabetów (prezydjum: Kaufmanowa, Lewinsonowa, Okuszko, Konarzewska, dr. Skalski, Wysznacki). Zwalczać ona musiała bardzo ciężkie trudności, jak brak lokalów szkolnych (dostęp do szkół miejskich od samego początku był przez dyrekcję wzbroniony), brak wykwalifikowanych nauczycieli, ciągłe zatargi z władzami. Wszystko to hamowało systematyczną naukę początkową. Wreszcie wskutek nowych rozporządzeń władzy, wszystkie kursy dla analfabetów zamknięto.

Praca Sekcji Uniwersytetu powszechnego (prezydjum: N. Handelsman, dr. Kaufman, Majewski, Rudnicka, dr. Tomaszewski) rozwijała się równolegle w dwu kierunkach: przez urządzanie odczytów z różnych dziedzin wiedzy oraz systematycznych wykładów dla grup ściślejszych. Odczyty, zwłaszcza na początku, gdy były nowością, ściągały tłumy. W dni sobotnie i niedzielne liczba słuchaczów dochodziła do 600. W znacznej części uczęszczała publiczność ze sfer zamożniejszych, szczególnie młodzież kształcąca się. Przeważały na ogół kobiety. Robotników było mało i przedstawicielem tej sfery był przeważnie proletarjat żydowski. Ale powoli charakter sali wykładowej zmienił się znacznie. Zniknęli ci, których pociągał urok nowości; pojawiły się natomiast poważne twarze robotników.

Przyczyniły się do tego urządzane na żądanie robotników odczyty w fabrykach po ukończeniu robót. Ale odczyty w salach fabrycznych miały swoje niedogodne strony: znużenie robotników po pracy i ciasnotę lokali. Zaniechano ich zupełnie wskutek rozporządzenia, zabraniającego osobom postronnym dostępu do fabryk.

W sprawozdaniu drugim, z r. 1908, czytamy wielce charakterystyczne uwagi:

„Tłumy, zapełniające z początku istnienia Towarzystwa sale wykładowe, ściągała ciekawość lub poprostu możność zbierania się. Nowością były też tematy, przedtym zabronione. Śród publiczności tej przeważały sfery mieszczańskie, licznie zwłaszcza przez płeć żeńską reprezentowane; one też potem, gdy urok nowości minął, najrychlej z audytorjum znikały. Zainteresowanie się poważnymi odczytami zmniejszało się z tygodnia na tydzień, do tego stopnia, że gdy na początku roku na odczyty Krzywickiego i Lorentowicza przychodziły setki osób, to w drugim półroczu już sala na odczytach, przeznaczonych dla t. zw. inteligencji, świeciła pustkami. Daremnie prezydjum próbowało tematów z najrozmaitszych dziedzin wiedzy (z psychologji, ekonomji społecznej, bjologji), daremnie zapraszała najwybitniejszych prelegentów polskich. Tak zwaną inteligencję zajmowały wyłącznie tematy erotyczne i kwestje płciowe. Tylko odczyty o tytule drastycznzm ściągnąć jeszcze mogły tłumy pań i panienek, jak tego dowiodły „konferencje", organizowane przez różnych przedsiębiorców. Takich jednak odczytów T. K. O. nie urządzało".

Mniej znacznym pierwiastkiem w sali odczytowej okazali się robotnicy. Przychodzili oni stale na odczyty, jakkolwiek w zmniejszonym komplecie.

„Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę trudne warunki, śród których znalazła się sfera robotnicza w okresie porewolucyjnym, zniknięcie z widowni wielu jednostek uświadomionych i wpływowych, oraz kłopoty materjalne, spowodowane bezustannym zniżaniem zarobków, to zrozumiemy, dlaczego robotnicy nie tak licznie, jak dawniej, na odczyty uczęszczają".

W latach następnych ilość odczytów znacznie zmalała; przyczyn tego smutnego stanu rzeczy kierownicy instytucji szukają, poza stroną formalną, w ogólnej apatji społeczeństwa oraz w braku prelegentów.

Natomiast pomyślniej się rozwija sekcja wypożyczalni książek. Największą poczytnością cieszy się dział baletrystyki, następnie dział książek dla młodzieży, dalej książki treści naukowej, wreszcie dział poezji. Na uwagę zasługuje stały popyt na ten dział ostatni. Kierownicy instytucji twierdzą, iż w znacznym stopniu przyczynił się do tego repertuar teatru polskiego. Dzięki wystawieniu „Dziadów", „Irydjona", utworów Słowackiego, Wyspiańskiego, Szekspira, Fredry, wzrosło też w wypożyczalniach zainteresowanie się utworami tych pisarzy.

Pomimo niepowodzeń, trudności i przeszkód wszelkich, pomimo ciągłych utyskiwań, widzimy jednak stały zapał i wytrwałość śród kierowników T. K. O., co daje rękojmię, że instytucja ta, wysoce kulturalna, zwycięży wszelkie przeszkody i wyrobi sobie trwałe istnienie.

Justus.

Niedorzeczne zarzuty.

I

Nadesłano mi numer *Handlowca* z I-go czerwca r. b. i numer *Nowego Życia* z 8-go czerwca r. b. W *Hadlowcu* znalazłem list otwarty do siebie, w *Nowym Życiu* recenzję mojej książki „Robotnicze Związki Zawodowe". I list i recenzja zawierają szereg zarzutów równie płytkich, jak zjadliwych. Jeżeli odpowiadam na te elukubracje, to nie po to, aby nauczyć czegoś ich autorów, których zła wola, tępa zawziętość i ograniczona zarozumiałość są aż nadto widoczne, lecz po to, aby przedstawić sprawę przed oczy bezstronnego czytelnika.

Handlowiec rozpoczyna od wyliczenia różnych moich przewinień, których mi „nie wytyka". A więc *Handlowiec* łaskawie „nie prostuje moich czysto-teoretycznych, a wprost niezgodnych z rzeczywistością krytyk, jakie zamieszczam o drobnym handlu i pośrednictwie", „nie powstrzymuje, podniecanego przezemnie i *moich kamratów* sztucznego zapału do zakładania, gdzie się da i czy jest potrzeba *lub nie*, stowarzyszeń spożywczych", wreszcie wspaniałomyślnie

„nie dyskretuje tych aranżerów idei współdzielczej, którzy krzyczą i piszą za pieniądze, nawołując do zakładania Związku,aby tam dopiero utworzyć dla siebie obfite źródło dochodów".

Na to wszystko *Handlowiec* zapuszcza nawpół odsłonięty woal, lecz nie może mi już stanowczo darować, że w artykule „O Związku Stowarzyszeń Spożywczych" umieszczonym w Nr. 20-ym *Prawdy* dla uwypuklenia „kłamliwej" obietnicy „utworzenia przy Związku funduszu zabezpieczającego byt jego pracowników", a dla usprawiedliwienia projektu założenia własnego biura pośrednictwa pracy, używam takich wyrażeń: „Gdyby u nas istniały przyzwoite związki zawodowe, pośrednictwo pracy powinno być im powierzone, lecz ponieważ ich niema, artykuł ten (t. j. założenie biura pracy) jest na miejscu".

Jest to, zdaniem *Handlowca*, „lekkomyślne rzucanie kolumnji na zrzeszenia, które po ćwierć wieku i dłużej spełniają uczciwie swoje zadania", i które — oczywiście — mają być najzupełniej przygotowane do roli dostarczania pracowników związkowym stowarzyszeniom spożywczym. List kończy się zapytaniem, co ja mianowicie znajduję nieprzyzwoitego w naszych związkach zawodowych, skoro im chcę odebrać najważniejsze działy ich działalności społecznej (t. j. pośrednictwo pracy)?

Zanim odpowiem na to pytanie, pozwolę sobie zupełnie odsłonić zasłonę nawpół zapuszczoną na te przewinienia moje i „moich kamratów", których mi *Handlowiec* „nie wytyka".

Według obliczeń, dość zgodnych, bo bardzo łatwych do zrobienia, wszystkich ekonomistów i statystyków, handel prywatny pochłania przeciętnie koło *połowy* detalicznej ceny sprzedażnej. To znaczy, że jeżeli ktoś kupuje w sklepie detalicznym jakiś towar za rubla, to z tego rubla fabrykant towaru i jego robotnicy dostają przeciętnie pół rubla, kupiec zaś (hurtownik i detalista) otzymują drugie pół.

W wielu wypadkach: tam mianowicie, gdzie dana gałąź handlowa ma monopol — prawny (jak np. apteki), lub faktyczny, stosunek ten wyraża się w skandalicznych proporcjach, dziesięć do stu, i niżej. To znaczy, że jakieś ziele, którego cała produkcja we wszystkich jej fazach, kosztowała 10 kop. za daną jednostkę miary, sprzedaje się za rubla.

Ale pomijając już nawet te wyjątkowe, choć częste, wypadki — stosunek przeciętnie równego zarobku produkcji i wymiany jest niesprawiedliwy, gdyż nie odpowiada włożonej pracy. Proszę porównać cały ogrom trudu potrzebnego do wyprodukowania sztaby żelaza, z trudem sprzedania tej-że sztaby! Zbieranie krociowego kapitału, ryzykowanie go, zbieranie personelu, lata nauki techników-inżynierów, całodzienna praca w wściekłym żarze setek robotników, którzy też muszą być wykwalifikowani — oto produkcja; dziesiątki lub nawet jednostki tysięcy kapitału, liczenie przy biurku, przenoszenie, wydawanie, kilku niewykwalifikowanych najemników do noszenia i podawania — oto handel. Słowem handel pobiera z ogółu ludności haracz nieproponcjonalnie wysoki w stosunku do usług, jakie oddaje. Dla tego ogół ludności powinien zrzucić z siebie to jarzmo; zorganizować swoje spożycie, zbliżyć się do wytwórców; wówczas za usługi handlowe płacić będzie nie połowę, lecz piątą lub nawet dziesiątą część wartości produktu, a resztę może sobie zaoszczędzić lub lepiej — użyć na zorganizowanie własnej zbiorowej produkcji. I dla tego wszędzie „się da" i wszędzie jest potrzeba zakładania stowarzyszeń spożywczych, bo wszędzie są ludzie, którzy chcą mieć na każdym zakupie 30 do 40 procent oszczędności. Oczywista rzecz, że dla ludzi niezamożnych ta oszczędność ma największe znaczenie.

Lecz cały byt stowarzyszeń spożywczych jest niepewny i zagrożony, dopóki nie posiadają one własnej hurtowni i specjalnie wykwalifikowanych w handlu kooperatywnym pracowników.

„Aranżerom idei współdzielczej", zarówno u nas, jak i na całym świecie, związek i własna hurtownia są potrzebne dla tego, że dopóki stowarzyszenia prowidują się u prywatnych hurtowników dopóty mogą one zaoszczędzić spożywcom tylko zyski handlu detalicznego, następnie zaś dla tego, że prywatni hurtownicy mogą każdej chwili zbojkotować stowarzyszenia spożywcze (jak to proponował „*Hazman*") i te wówczas momentalnie musiałyby upaść. Oto są motywy, dla których wszyscy teoretycy kooperatywy na całej kuli ziemskiej, „krzyczą i piszą", nawołując do zakładania Związków i Hurtowni Związkowych. Są jeszcze i inne (możność przerzucenia się na własną produkcję na wielką skalę i t. d.), no ale niech sobie *Handlowiec* studjuję odpowiednią literaturę.

Cóż za nonsens jest wobec tego powiedzenie, że „aranżerowie idei współdzielczej krzyczą i piszą za pieniądze, nawołując do zakładania Związku, aby tam dopiero otworzyć dla siebie obfite źródło dochodów"!

Do kogo się to stosuje?

Do mnie? od niejakiego czasu *Społem* wprawdzie płaci mi po parę kopiejek od wiersza, lecz te honorarja ani w dziesiątej części nie pokrywają kosztu zakupu odpowiednich książek, których u nas niema i które trzeba w dziewięciu dziesiątych częściach sprowadzać z zagranicy, ani też kosztu przeszło dwuletnich studjów, które odbywałem w Paryżu pod kierownictwem Gide'a, Fournie'ra, Maus'a specjalnie nad kooperatywą. O wartości mojego czasu — nie mówię już.

Do Wojciechowskiego i Mielczarskiego, którzy za 10 do 12 godzin dziennej pracy, bez urlopów i wakacji, mając rodziny, pobierają jakieś niecałe dwa tysiące rubli rocznie i którzy — ze swoimi zdolnościami — byliby dawno w prywatnej karjerze handlowej doszli do daleko większych rezultatów materjalnych?

Robienie pół-gębkiem tego rodzaju insynuacji, skierowanych pod najniewłaściwszym adresem, stawia *Handlowca* w rzędzie pism najniżej stojących pod względem etycznym.

Teraz przejdźmy do drugiego warunku ugruntowania bytu stowarzyszeń spożywczych, a mianowicie do wytworzenia sobie specjalnie w handlu kooperatywnym wykwalifikowanych pracowników. Jeżeli — u nas i nie u nas — przy zapoczątkowaniu ruchu kooperatywnego wiele sklepów współdzielczych poupadało, to stało się to w dziewięciu wypadkach na dziesięć dla tego, że w sklepie sprzedawał subjekt, wzięty z handlu prywatnego, zarażony wszystkimi jego wadami, oraz kombinujący tylko nad tem, jak nadużyć zaufania klijentów, i stowarzyszonych, aby jaknajprędzej zdobyć tą drogą własny fundusz i założyć własny sklepik. Ta historja powtarzała się setki razy, lecz więcej się nie powtórzy. Za przykładem zagranicy (finlandzkiej „Pellervo" np.) nasze towarzystwo kooperatystów urządziło specjalne zimowe kursa handlu kooperatywnego i teraz Związek powinien stowarzyszeniom rekomendować tylko takich pracowników, którzy ukończyli te kursa. Handel kooperatywny jest specjalną odmianą handlu, którą należy specjalnie studjować! Jeżeli towarzystwo Wzajemnej Pomocy Pracowników Handlowych (którego organem do pewnego stopnia jest *Handlowiec)* chciało, żeby Związek Stowarzyszeń Spożywczych powierzył mu rolę rekomendowania sobie pracowników, to powinno było otworzyć kursy handlu kooperatywnego, w ostateczności w inny jaki sposób zapoznać pewną liczbę ludzi z tą odmianą handlu, wogóle mieć pewien materjał ludzki, odpowiedni do zużytkowania. Ponieważ Pracownicy Handlowi o tem nie pomyśleli, więk Związek Stow. Spoż. zwracać się do nich nie może i nie będzie. O ile więc Pracownicy Handlowi uważają się za związek zawodowy, o tyle jest nieprzyzwoitością (wyrazu tego zresztą użyłem w znaczeniu: brak nie—dorozwój, bez żadnych etyczno-honorowych domyślników, jakie mi gwałtem i wbrew oczywistości imputuje *Handlowiec)*

z ich strony nieprzewidzenie rozwoju handlu kooperatywnego i nierobienie absolutnie żadnych kroków w celu przygotowania ludzi odpowiednio wykwalifikowanych. Natomiast jestem przekonany, że Związek Stow. Spoż z radością powitałby organizację prawdziwego związku zawodowego wykwalifikowanych pracowników handlu kooperatywnego. Pozatym nie rozumiem, dlaczego utworzenie funduszu zabezpieczającego byt pracowników Związku ma być rzeczą nieziszczalną? Wszystkie hurtownie i Związki zagraniczne utworzyły tego rodzaju fundusz, bez żadnych nadzwyczajnych trudności.

Słowem, jeżeli *Handlowcowi* chodziło o t-wo Pracowników Handlowych, to niemożność powierzenia temu t-wu pośrednictwa pracy dla kooperatyw jest skutkiem braku handlowców kooperatywnych w jego składzie.

Jest to najważniejszy może powód, lecz bynajmniej nie jedyny. Mamy w Warszawie dwa towarzystwa pracowników handlowych: jedno wyznania chrześcjańskiego, drugie wyznania mojżeszowego. Skoro są takie anomalje (nieprzyzwoitości, już jeżeli mamy się trzymać tego wyrazu), to kooperatywy doskonale robią, unikając obydwóch. Wogóle, aby związki zawodowe mogły wziąć na siebie pośrednictwo pracy, muszą one ogarniać znaczną większość „pracowników danego zawodu, a na to, żeby ogarnąć tę większość", muszą być neutralne pod względem wyznaniowym i politycznym. Nasze związki zawodowe nie usunęły tych braków (tych nieprzyzwoitości, jak koniecznie chce *Handlowiec*), więc *jeszcze* nie są zdolne do podjęcia pośrednictwa pracy. Zresztą, zamiast stylizować do mnie „listy otwarte", niechże sobie *Handlowiec* przeczyta moje „Robotnicze Związki Zawodowe". Tam jest dokładne wyliczenie wszystkich „nieprzyzwoitości„ naszych związków zawodowych (partyjność, wyznaniowość, mała liczebność, zbytnia uległość u jednych, zbytnia bojowość u innych). Posłałem nawet *Handlowcowi* tę książkę. Panowie nie odebrali, czy nie czytali? Czy też udają, że nie odebrali i że nie czytali, aby módz z gestem świętego oburzenia zadawać mi niedorzeczne zapytania?

Jerzy Kurnatowski.

BADANIA NAUKOWE.

Ewolucja wsteczna.

(J. Domoor, J. Mossart i Vandervelde. „Evolution régressive")

Książka ta usiłuje stwierdzić, że ewolucja wsteczna jest zjawiskiem powszechnym. Belgijski zoolog Domoor, botanik Mossart i socjolog Vandervelde, połączyli swe usiłowania, ażeby rzucić nowy snop światła na łączność jaka zachodzi pomiędzy zjawiskami biologicznymi i społecznymi.

Uświadamiając sobie różnice pomiędzy organizmem ożywionym i społeczeństwem, autorowie *są jednak świadomi i wielu podobieństw.* To też odrzucając pogląd utożsamiający społeczeństwo z organizmem nie wahają się podać do użytku publicznego owocu swych poszukiwań, odsłaniających szereg podobieństw rozwojowych pomiędzy organizmem i społeczeństwem.

Liczne dane morfologji zwierząt i roślin stwierdzają, że rozwojowi jestestw organicznych towarzyszy współistniejące ze sobą powstawanie i zanikanie. Przekształceniom towarzyszą zaniki, uwstecznienia i przeżytki. W rozwoju społecznym stwierdzić można współrzędne objawy. Pan Vandervelde licznymi przykładami z życia społeczeństw ludzkich stwierdza, że w rozwoju instytucji wszelkiemu przekształceniu nieodłącznie towarzyszy uwstecznienie. Liczne przykłady cytowane na potwierdzenie możemy ująć w pewne wnioski uogólniające. Ustaleniu się własności rodzinnej towarzyszy ograniczenie praw klanu. Ze swej stroy gmina rodzinna zaciera się przy wyłonieniu się gminy wiejskiej. Gminy rolne stopniowo zanikają gdy ustala się feodalizm.

Staroświecka organizacja własności i zależnych od niej instytucyj administracyjnych i politycznych rozkłada się i zanika w miarę ustalania się własności prywatnej.

Nie trudno wykazać na mocy danych przyrodoznawstwa narządy szczątkowe. Pan Vandervelde za pomocą innej serji danych odmiennej kategorji stwierdza, że u wszystkich społeczeństw spostrzega się przeżytki tym liczniejsze im społeczeństwo jest więcej barbarzyńskim i naśladuje slepo przodków. Faktów stwierdzających to, jest moc nieprzeliczona. Kina krajowców Ziemi Ognistej jest przeżytkiem odległych czasów. Dziurawienie uszów u czteroletnich dzieci w które się nic nie wprawia, lub tylko bardzo rzadko, jest przeżytkiem Weddahs'ów który ongiś miał swój sens. Zwłaszcza formy małżeńskie i obrzędy weselne obfitują w przeżytki zachowujące się jako skutek nawarstwienia dawnych form rozwojowych danej instytucji.

Co się tyczy rzekomego prawa biologicznego w myśl którego ewolucja wsteczna odbywa się w kierunku odwrotnym do przebytej ewolucji postępowej — to obaj autorzy przyrodnicy na podstawie badania faktów odnośnych doszli do wniosku, że poza kilku znanymi faktami potwierdzającymi — tylko na pierwszy rzut oka prawo to wydaje się być uzasadnionym, bowiem przy głębszym poznaniu nie daje się ono obronić ze stanowiska faktów, Pewnym, oczywistym i zrozumiałym jest tylko to, że cechy i własności najświeższej daty nabyte podczas ewolucji postępowej najprędzej zanikają, gdy rozwój przybierze wsteczny kierunek, najmniejszy bowiem opór stawiają one czynnikom rozkładowym. W dziedzinie życia społecznego odnajdują się te same stosunki. Pewna ilość faktów zdaje się stwierdzać słuszność prawa sformułowanego wyżej; cały szereg innych nie jest mu posłusznym.

Ciekawy fakt z tego zakresu cytuje M. Loria. Pierwsi wychodźcy angielscy, jacy osiedli w Ameryce, gdy się znaleźli w potrzebie ustanowienia praw drogą naturalną, wpadli na myśl stosowania praw opuszczonej ojczyzny z którymi byli zżyci i oswojeni. Gdy jednak przyszło urzeczywistnić tę myśl, okazało się że najmłodsze prawodawstwo, stanowiące t. z. „statute law" zupełnie nie dało się stosować i dlatego zaraz na wstępie upadło. Dawniejsze prawodawstwo angielskie ujęte w statut zatytułowany „common law" (prawo pospolite) po pewnym przeciągu czasu mogło znaleźć zastosowanie w koloniach amerykańskich tylko w niewielkiej liczbie wypadków, w większości zaś wypadków okazało się nie do użycia. To rozstrzygnęło o jego losie. Po pewnej ilości lat i to dawniejsze prawodawstwo angielskie zanikło w koloniach. Z drugiej strony w wypadku kryzysów handlowych spostrzega się, że stare dawne formy bankrutują podczas, gdy młode wytrzymują kryzys. Panuje jednomyślność pośród biologów co do tego, że narządy raz zaginione nie mogą ponownie się pojawiać lub rozpoczynać znów zatraconych czynności lub spełniać jaką czynność nową dotąd niespełnioną.

Atawistyczne objawy, które zdają się przeczyć temu poglądowi, mogą znaleźć taką interpretację, która nienarusza tego poglądu. Równorzędnie z tym w życiu społecznym tylko pozornie i normalnie ma miejsce wznowienie zaginionych instytucyj jak np. wielożeństwo dzisiejszych Mormonów, lub wznowione

igrzyska Olimpijskie. I u zwierząt i u roślin spostrzega się mnóstwo narządów szczątkowych. Instytucje społeczne roją się również od mnóstwa szczątkowych przeżytków. Czerpiąc z licznych przykładów wspomnimy w naszym sprawozdaniu o sposobie mianowania szeryfa w Anglji przez króla lub królową. Sposób ten od 1340 roku dotąd nie uległ zmianie i polega na przekłóciu na chybił trafił złotą szpilką którego bądź nazwiska zawartego na liście kandydatów.

Czynniki powodujące zanik narządów w świecie roślin i zwierząt dają się odnaleźć w życiu społecznym. Czynnikiem tym w obu dziedzinach jest ograniczoność środków istnienia i wynikająca stąd walka o nie. Przygodnymi przyczynami zaniku bywają u roślin i zwierząt i ograniczoność i brak miejsca, nieużywalność i wynikająca stąd bezczynność, brak miejsca, brak środków odżywczych, wreszcie zanik wywołany bez widocznej przyczyny.

Z pomienionych przygodnych przyczyn zaniku w życiu społecznym stwierdzić udaje się tylko zanik na mocy braku zastosowania i użycia, i zanik na mocy braku zasobów. Urząd portowy miasta Bruges np. musiał uledz zanikowi gdy skutkiem zamulenia wybrzeża miasto Bruges przestało być portem. Zanik gmin rodzinnych (zadruga) w Czarnogórzu wynikł z przyczyn ekonomicznych, mianowicie ze zmniejszenia urodzajności kraju, wywolanego nieopatrznym wytrzebianiem lasów. Niemożność wyżywienia się pod postacią „zadrugi" zniewoliła ją rozpaść się na mniejsze jednostki współżycia rodzinnego.

Morfologja roślin i zwierząt dostarcza szeregu przykładów wskazujących narządy które zatraciły swą czynność a jednak nie znajdują się w zaniku.

Przyrodnicy tłómaczą to zjawisko zastojem rozwojowym, który nie zdążał do uprzątnięcia zbytecznego narządu. W niektórych wypadkach nikłość i podrzędność narządu może tłómaczyć fakt, że natura lekceważy sobie jakby jego usunięcie. Nie jest też wykluczonym że w podobnych wypadkach jakaś niewidoczna korzyść dla ustroju podtrzymuje istnienie bezczynnego narządu. W życiu społecznym nie trudno wskazać na przejawy współrzędne. Jest cały szereg instytucyj bezczynnych, które straciły swą specyficzną rację bytu pomimo tego są podtrzymywane. Czasem dzieje się to dla ubocznych względów, czasem z pietyzmu dla tradycji będącej tym w rozwoju społecznym czym jest dziedziczność w rozwoju jestestw organicznych. Przez oportunizm, z wyrachowania rządy podtrzymują cały szereg synekur. Stronnictwo konserwatywne w Anglji w interesie stronniczym przez długi czas podrzymywało trwanie praw wyborczych w takich miejscowościach, gdzie wyborcy liczyli się napalcach, lub ich zupełnie brakowało. Takich miejscowości było 35 wysyłających 70 deputowanych zmuszonych prawie mianować siebie samych. Miejscowości te nosiły nazwę techniczną „grodów zgniłych". Istnienie w Anglji szeryfow skazanych na paradowanie bez wszelkich atrybucyj dawniej posiadanych, jest nowym przykładem trwania instytucji, której czynność zamarła.

Taką jest treść książki omawianej podana przez nas w krótkiej i zwięzłej formie.

Alexy Kurcyusz.

Ekonomizm, jako wyłączna metoda badań historycznych.

W jednym z numerów tygodnika teoretycznego socjaldemokracji niemieckiej — „Die neue Zeit"—za rok 1906 ukazał się artykuł Karola Kautsky'ego p. t. „Der amerikanische Arbeiter". — Twierdzi w nim Kautsky, że „materjalizm historyczny" jest jedną z metod badań historycznych. W numerze 8 tegoż tygodnika za rok 1896—97—w artykule „Was will und kann die materialische Geschichtsauffassung leisten?" —konstatuje Kautsky, iż jedną z cech metody historyczno-materjalistycznej jest to, że „wychodzi ona z założenia" (sie geht von dem Grundsatz aus), że „ostatecznej podstawy" (den letzten Grund) rozwoju społecznego szukać należy w warunkach ekonomicznych.— Metoda monoekonomiczna w historji byłaby więc w myśl tego sposobem badania, polegającym na ciągłym wynajdywaniu w rozwoju społecznym sprawdzeń hipotetyczno-heurystycznej syntezy, stwierdzającej, że zjawiska ekonomiczne są „ostateczną podstawą" tego rozwoju. Synteza ta grałaby przy monoekonomistycznych badaniach socjologicznych rolę przewodnika teoretycznego, a zerwanie z tym przewodnikiem byłoby jednocześnie zerwaniem z samą metodą monoekonomizmu. Zakwestjonowanie słuszności przesłanki o „ostatecznej podstawowości" zjawisk ekonomicznych w rozwoju społecznym stałoby się przez to samo zakwestjonowaniem wartości teoretycznej stosowania metody ekonomistycznej w badaniach historycznych.

Jeżeli więc Kautsky, a za nim lub poza nim szereg innych socjologów, stając w obronie tego, co nazywają materjalizmem historycznym, bronią nie teorji socjologicznej, lecz metody badań historycznych,—to metoda ta traci grunt teoretyczny pod nogami z chwilą, gdy zostaje obalona teorja „ostatecznej podstawowości" zjawisk ekonomicznych, mająca, zdaniem Kautsky'ego, dla metody monoekonomicznej w historji wartość „założenia". Za punkt wyjścia krytyki monoekonomizmu, pojmowanego, jako jedna z metod badań historycznych, może tedy służyć krytyka teorji, iż zjawiska ekonomiczne są „ostateczną podstawą rozwoju społecznego".

Nie wiem, w jakim znaczeniu używa Kautsky w swoich pracach wyrażenia „ostateczna podstawa"; nie chcąc postępować dowolnie, interpretując to wyrażenie w jakimkolwiek jednym kierunku, nadam mu szereg znaczeń, których podstawienie na miejsce wyrazów „ostateczna podstawa" zamieni zdanie—„zjawiska ekonomiczne są ostateczną podstawą rozwoju społecznego"—w szereg zdań reprezentowanych w socjologji przez rozmaitych ludzi, nazywających się lub nazywanych „materjalistami historycznymi". Będę w myśl tego interpretował wyrażenie „ostateczna podstawa" kolejno, jako „ostateczną przyczynę", „ostateczny wyznacznik" (determinantę) oraz „przeważający wyznacznik". Zdaje mi się, że modyfikowane przez takie zmiany znaczenia wyrażenia „ostateczna podstawa" — sformułowania teorji „ostatecznej podstawowości" będą wyczerpywały cały możliwy zapas różnych interpretacji monoekonomizmu.

W pierwszym z tych sformułowań teorja „ostatecznej podstawowości" brzmi, jak następuje: „zjawiska ekonomiczne są ostateczną przyczyną rozwoju społecznego" ewentualnie „...ostateczną przyczyną wszystkich zjawisk społecznych".

Przyczyną zjawiska *B* nazywam tu zjawisko *A*, w stosunku do którego zjawisko *B* jest skutkiem. Tak więc, przechodzenie przez drucik platynowy prądu elektrycznego nazywam przyczyną jego ogrzewania się wtedy, jeżeli ogrzewanie się drucika jest skutkiem przechodzenia przezeń prądu elektrycznego.

Skutkiem zjawiska *A* nazywam zjawisko *B*, które istnieje, ilekroć istniało zjawisko *A*, i które (przy zachowaniu tych samych innych warunków) nie istnieje, ilekroć zjawiska *A* nie było. Tak więc ogrzewanie się drucika platynowego tylko w takim razie nazywam skutkiem przechodzenia przezeń prądu elektrycznego, jeżeli drucik się nagrzewa, ilekroć przechodzi przezeń prąd elektryczny, nie nagrzewa się zaś, ilekroć (przy zachowaniu tych samych innych warunków) prąd elektryczny przez drucik nie przechodzi.

Po wyjaśnieniach tych postaram się sformułować określenie słowa „skutek" w sposób bardziej precyzyj-

ny: skutkiem zjawiska A nazywam zjawisko B, które istnieje w jakimkolwiek momencie $\gamma+\alpha$, jeżeli o α jednostek czasu przed tym momentem istnieje w warunkach x zjawisko A, a nie istnieje w jakimkolwiek momencie $\gamma_1+\alpha$, jeżeli o α jednostek czasu przed nim zjawiska A w tych samych warunkach x niema. Tak więc, ogrzewanie się drucika platynowego nazwę skutkiem przechodzenia przezeń prądu elektrycznego, jeżeli drucik się ogrzewa w jakimkolwiek momencie $\gamma+\alpha$, ilekroć o α jednostek czasu przed tym momentem zaczął przezeń przechodzić w warunkach x prąd elektryczny,—a nie ogrzewa się w jakimkolwiek momencie $\gamma_1+\alpha$, jeżeli α jednostek czasu przed tym momentem prąd elektryczny w tych samych warunkach x przez drucik nie przechodzi.

W myśl tego więc powiedziałbym, iż zjawisko A, które istniało w chwili γ, jest przyczyną zjawiska B, istniejącego o α jednostek czasu po zjawisku A,—jeżeli zjawiska B niema o α jednostek czasu od chwili γ_1, w którym wszechświat jest zupełnie równy wszechświatowi z chwili γ, ale nie zawiera w sobie zjawiska A.—Tak więc, powiedziałbym, że prąd elektryczny, który przechodzi przez drucik platynowy w chwili γ, jest przyczyną tego, że o α jednostek czasu od chwili γ drucik się ogrzewa,—jeżeli drucik ten nie ogrzewa się o α jednostek czasu od chwili γ_1, w którym wszystkie inne warunki, to znaczy wszechświat, są zupełnie równe wszechświatowi z chwili γ_1 —lecz w którym prąd elektryczny przez drucik nie przechodzi. [1])

Dla stwierdzenia więc, że zjawisko A jest przyczyną zjawiska B, potrzebne są następujące 4 momenty:

1) moment γ: istnieje we wszechświecie zjawisko A, np. przez drucik platynowy przechodzi prąd elektryczny;

2) moment $\gamma+\alpha$: istnieje we wszechświecie zjawisko B, np. drucik platynowy ogrzewa się;

3) moment γ_1: wszechświat jest zupełnie równy wszechświatowi z chwili γ, ale niema w nim zjawiska A (to znaczy w zastosowaniu do naszego przykładu, że przez drucik platynowy prąd elektryczny nie przechodzi);

4) moment $\gamma_1+\alpha$: zjawiska B we wszechświecie niema (drucik platynowy nie ogrzewa się).

O ile się takich czterech momentów nie posiada, o tyle o stosunku przyczynowym dwuch zjawisk mówić nie można.

Zależnie od stanowiska, które się zajmuje w fizyce i psychofizyce—rozmaicie się przedstawia możliwość istnienia takich czterech momentów: jeżeli się np. uznaje zasady zachowania energji i paralelizmu psychofizycznego, to wyklucza się możliwość istnienia momentu γ_1 jeżeli istniał moment γ, i odwrotnie:—zjawisko A może być fizycznym lub psychicznym;—wobec tego, przypuszczając możliwość istnienia obu momentów—γ i γ_1, uważalibyśmy za możliwe istnienie momentu γ_1, w którymby ilość energji fizycznej była mniejszą od jej ilości w jakimkolwiek momencie poprzedzającym γ, lub w którymby—przy tym samym, co w momencie γ, układzie energji fizycznej—brakowało jakiegoś lub jakichś stanów świadomości, które istniały w momencie γ. (W naszym przykładzie ilość energji fizycznej w momencie γ_1, byłaby mniejszą od ilości jej w momencie γ—o energję przechodzącego przez drucik platynowy prądu elektrycznego). Tymczasem zasada zachowania energji uczy nas, że energja nie może ginąć w ten sposób, by na jej miejsce nie powstawał jej energietyczny równoważnik, z drugiej zaś strony konsekwentny paralelizm psychofizyczny twierdzi, iż jednakowym układom fizycznym odpowiadają jednakowe zjawiska świadomości. (W naszym przykładzie więc—energja prądu elektrycznego, przechodzącego przez drucik platynowy może ginąć tylko wtedy, jeżeli na jej miejsce powstaje jej równoważnik energietyczny). Ze stanowiska więc dwuch powyższych zasad—niemożliwym jest istnienie momentu γ_1 po momencie γ, a przez to samo niemożliwą jest następczość momentów — γ, $\gamma+\alpha$, γ_1 i $\gamma_1+\alpha$, która jedynie dawałaby nam prawo stwierdzenia stosunku przyczynowego zjawiska A i B. (W naszym przykładzie—przechodzenia prądu elektrycznego przez drucik platynowy oraz ogrzewania się drucika).

Zasady zachowania energji i paralelizmu psychofizycznego nie są jednakże koniecznymi dla dowiedzenia nieuzasadniowości zdania, że zjawiska ekonomiczne są „ostateczną przyczyną" zjawisk społecznych; postaram się wykazać to:—jak już wyżej powiedziałem, można mówić o przyczynowym stosunku dwuch zjawisk dopiero wtedy, kiedy istnieją 4 wskazane wyżej momenty— γ, $\gamma+\alpha$, γ_1 i $\gamma_1+\alpha$;—w zastosowaniu do zajmującej nas tu sprawy momenty te dałyby się wyrazić w sposób następujący:

1) moment γ: istnieje we wszechświecie układ ekonomiczny A, np. „wypadkowa" sił ekonomicznych, działających przed rokiem 1793;

2) moment $\gamma+\alpha$: istnieje we wszechświecie zjawisko społeczne B, np. wielka rewolucja francuska;

3) moment γ_1: wszechświat jest zupełnie równy wszechświatowi z chwili γ, ale niema w nim układu ekonomicznego A (np. odpadła „wypadkowa" sił ekonomicznych, działających przed rokiem 1793);

4) moment $\gamma_1+\alpha$: zjawiska społecznego B we wszechświecie niema. (W naszym przykładzie—niema wielkiej rewolucji francuskiej).

Przy rozpatrywaniu kwestji możliwości istnienia takich czterech momentów nie wychodzę tym razem ze stanowiska żadnych uogólnień heurystycznych, lecz przy uznaniu lub odrzuceniu tych momentów kieruję się wyłącznie sprawdzalnością mych zdań w społecznym doświadczeniu; w tym ostatnim nigdyśmy dotąd nie mieli takiego momentu γ_1, któryby się tym tylko różnił od poprzedzającego go jakiegokolwiek momentu γ, że nie istnieje w nim jakiekolwiek zjawisko ekonomiczne A, które istniało w momencie γ (nie mieliśmy więc np. takiego momentu, któryby się tym tylróżnił od momentu poprzedzającego, w którym działała „wypadkowa" sił ekonomicznych z przed roku 1793,—że ta „wypadkowa" w nim nie działała: na miejsce „wypadkowej" sił ekonomicznych, działających przed rokiem 1793, wyłaniała się w każdym następnym momencie nowa „wypadkowa" sił ekonomicznych). Doświadczenie więc nie daje nam tych czterech momentów, które są niezbędne dla stwierdzenia stosunku przyczynowego między jakimikolwiek zjawiskami ekonomicznymi a ogółem zjawisk społecz-

---

[1]) Przy konstruowaniu pojęcia przyczyny wziąłem tu za punkt wyjścia teorję indukcji w systemie logiki J. St Milla.—Nadając słowu „przyczyna" to same mniej więcej, co u Milla znaczenie, starałem się tylko o bardziej ścisłe jego sformułowanie. Zaznaczę tu nawiasem, że kwestja możliwości wynajdywania w doświadczeniu przyczyn w znaczeniu Milla była niedawno poruszona przez profesora Leona Petrażyckiego w jego niezmiernie ciekawym dziele — „Wwiedienie w izuczenje prawa i nrawstwiennosti", nie przyswojonym dotychczas, niestety, literaturze polskiej.—Sz. profesor twierdzi tam, że niemożliwość ścisłego przestrzegania formuły Milla przy analizie doświadczenia nie pozbawia wartości samej formuły, którą należy tylko rozumieć „cum grano salis" (str. 38). W przeciwstawieniu do poglądu na tę kwestję sz. profesora - zdaje mi się, że wszelkie „granum salis", to znaczy wszelkie dowolności w interpretacji formuły Milla, muszą z konieczności prowadzić do zupełnego wypaczenia jej znaczenia: — jednakowość wszystkich warunków x w momentach γ i γ_1, a nie tylko najważniejszych warunków, jak chce to rozumieć profesor Petrażycki, jest pierwiastkiem konstytutywnym dla pojęcia przyczyny u Milla; wynika stąd: że brak w doświadczeniu składników, któreby się dały podciągnąć pod to pojęcie, — wskazuje tylko na jego irrealność.

nych. (W naszym przykładzie—między „wypadkową” sił ekonomicznych, działających przed rokiem 1793, a wielką rewolucją francuską).

Stanisław Leśniewski,

(d. n.)

POEZJA.

Człowiek - Serce.

(Dajna litewska.)

Wziętemu do niewoli wodzowi kazano wydrzeć mężne serce... Miecz jego złamany, strzaskana tarcza nie broni nagiej piersi... Otworzono ją tedy, dziateczki miłe!

Podobnie, jak Motyl, w złotej klatce zamkniony, trzepocze skrzydłami w więzieniu cielesnym duch ludzki...

Otworzono klatkę — i — Motyl wyleciał kierując lot swój do prawiecznego Słońca...

Drgało w pokurczach ino biedne ludzkie serce, gorącą krwią zbroczone, dziateczki miłe, i wyrzucone na drogę, na pył, pod nogi przechodniów, na pożarcie psom, na poniewierkę.

Przechodziła tą drogą wieszczka — wejdalotka.

Ozłociła wejrzeniem, ogrzała tchnieniem serce konające...

Wzięła je w białe, przeczyste, delikatne ręce.

„More! More!
„Idę koło More!
„Przechodzę obok More!
„Wysłuchaj mnie More!

Rzuciła zaklęcie.

— Żyj serce!!

Serce ożyło... Rozszerzyło się, rosło nakształt napęczniałego krwią tułowia, z którego niby rostki, wysnuły się ręce i nogi. W bólu powstania ukształtowała się głowa... Zaczął pracować mózg.

Z konającego serca wodza pod czarem zaklęcia kapłanki wyrósł nowy, czerwony człowiek świecący kwawemi mięśniami i... pozbawiony na zawsze skóry. Poszedł ów człowiek do Miasta, w którym było pełno ludu, zasobnego w skóry... Ci byli gruboskórni od urodzenia, tamci wyhodowali sobie po kilka skór, w które owijali się w razie potrzeby,

Wszyscy jednak lubili wstrząsające widowiska.

Kiedy Człowiek — Serce ukazywał się nagi na jarmarku pod prażącymi promieniami słońca, spocony kwią, płacili mu za to wielkie pieniądze.

Człowiek — Serce zbierał te pieniądze do skrzyni, dziateczki miłe. Gdy uzbierał Miljon poszedł na rynek ludzki.

— Tu sprzedają się łyse z mądrości głowy...

— Do nabycia okazyjnie garnitur nóg wyćwiczonych!

— Stalowe łydki!

— Ręce! Wykwalifikowane, cierpliwe ręce

— Serca! Serca! Serca! Bardzo tanio!

— Wysubtelnione nerwy... Wrażliwość pierwszego stopnia! Po trzy grosze drgnienie...

— Oddaje się do wynajęcia pański brzuch!

Tak zachęcali przekupnie. Towaru było co niemiara i wielka rozmaitość.

— Chciałbym nabyć sobie skórę — powiedział Człowiek-Serce. — Nie mamy tego na składzie... Wyłącznie do własnego użytku — odpowiedzieli przekupnie.

— Gotówem zapłacić wysoką cenę — Miljon!...

Nikt jednak, nie zechciał czerwonemu człowiekowi sprzedać skóry na ludzkim rynku...

Za żadną cenę, dziateczki miłe!

Jerzy Jankowski.

Thamar *).

(Z motywów biblijnych).

O, siostro—ja gorę! O, siostro—ja płonę!
A myśli me chore, a myśli szalone
Po głowie się wiją
I z mózgu krew piją —
Purpurą padają na oczy..

Pójdź, siostro! Wnętrzności żar pali i targa..
Daj kubek! — pragnieniem spieczona drży warga.
Pójdź! — schyl się nade mną —
Bo w oczach mi ciemno,
Skroń tętni, źrenicę krew mroczy..

O, bliżej! o, bliżej!.. Ha! — oto twe ręce!
Daj miękkie! daj białe! — wkrąg szyi okręcę..
Precz czara już pusta! —
Różane daj usta!
Hej! prędko! — cierpiałem zbyt wiele...

Krzyk trwogi na ustach ustami rozgniotę,
Żelaznym twe ciało uściskiem oplotę
I złamię, i nagnę —
Bo łaknę! bo pragnę!
Bo łoże małżeńskie tu ścielę!

Ha! nie chcesz? — Więc bliżej hej, bliżej tu jeszcze!
Daj wolę—leż cicho!—bo ścisnę jak w kleszcze..
Ha! czujesz żar twarzy?
Dłoń pieści, dłoń parzy —
Jak złodziej się nocny zakrada..

Płomieniem się sunie ta drżąca, ta chciwa
I oczom spragnionym kwiat ciała odkrywa,
Co ciepło i miękko
Faluje pod ręką —
Aż lilja zczerwieni się blada..

. . O, ileż to razy w mrok twego namiotu
Wkradałem się, cisnąc pierś pełną łoskotu!
I drżące, chłopięce
Wsuwałem me ręce
W gorące, dziewicze twe łoże..

Ty, czując w uśpieniu te pierwsze pieszczoty,
Marzyłaś miłosnych roskoszy sen złoty —
I sennie, bezwolnie
Zsuwałaś swawolnie
Zasłony swej rąbki...

---

*) II Księgi Królewskie. Rozdział XII.

O, Boże!
Jak wtedy dotknięciem składałem podzięki
Na piersi, na bioder dziewczęcych kształt miękki!
Lecz w lęku i trwodze
Namiętność za wodze
Trzymałem, jak w stepach rumaka..

Dziś próżno się ciało dziewicze wypręża!
Dziś nad nim dłoń władna — dłoń pana i męża!
Za dawne męczarnie
Niech tuli! niech garnie!
Dziś musisz — bo wola ma taka!

Odpychasz? — Hej, darmo!..
Przez mroków tych ciemnie,
Przez krew tę tętniącą—pójdź do mnie! pójdź we mnie!
Hej, bliżej! Hej, głębiej!
Niech w mózgu war kłębi —
Niech chwilę uczyni szaloną!..

Raz jeszcze! — raz mocniej ramieniem okolę..
Co? mdlejesz? — Hej, próżno! Dziś musisz dać wolę!
Daj biodra! — otoczę
I ujmę, — i stłoczę!..
Ha! siostro-kochanko!.. Ha!.. żono!

Roman Kreczmar.

KRYTYKA.

Percy Ashley, profesor uniwersytetu Londyńskiego: **Zarząd centralny i lokalny w Anglji, Francji, Prusach i Stanach Zjednoczonych.** Studjum porównawcze. Tłomaczył Jerzy Gościcki. Lwów 1910 str. 321.

P. Gościcki przyswoił naszemu piśmiennictwu naukowemu doskonały podręcznik prawa państwowego, tym ciekawszy, że traktowany porównawczo i dający możność oceny urządzeń publicznych jednego kraju przez zestawienie ich z urządzeniami innych krajów. W Anglji samorządy lokalne weszły w krew narodu, są zgodne z jego przyzwyczajeniami, posiadają dużą niezależność, a rozporządzenia władzy centralnej właściwie są więcej dyrektywami, niż rozkazami. W angielskich samorządach lokalnych (hrabstwo historyczne, hrabstwo administracyjne, miasto municypalne, okrąg miejski, okrąg wiejski, parafja wiejska) prawie wyłącznie zasiadają reprezentanci miejscowej ludności. Czynne prawo wyborcze przysługuje wszystkim „lokatorom i kobietom". Z biernego korzystają faktycznie ludzie zamożniejsi, z powodu wydatków związanych ze stanowiskami, które są przeważnie honorowe. Czynnikiem regulującym spory zarówno pomiędzy władzą centralną, a władzą lokalną, jak i pomiędzy wszelkimi władzami publicznymi, a zwykłymi obywatelami—są sądy, które stosują do tego rodzaju spraw te same normy, co i do spraw obywateli pomiędzy sobą. Tym dużym stopniem niezależności angielskich samorządów lokalnych, przy rzutkości usposobienia i umiejętności zbiorowej pracy, tłomaczy się pomiędzy innymi kolosalny rozrost t. zw. polityki municypalnej w Anglji.

Całkiem inaczej ułożyły się stosunki we Francji i w Prusach, gdzie samorządy lokalne wegetują w prawie zupełnej zależności od władzy centralnej. Jeżeli w Prusach polityka municypalna osiągnęła większe rezultaty, niż we Francji, nie jest to wynikiem większej niezależności samorządów lokalnych, lecz większej przedsiębiorczości biurokracji. O ile pod względem ogólno-państwowym—Prusy, ze swoimi ministerjami odpowiedzialnymi tylko przed monarchą i przezeń mianowanymi, ze swoim trzy-klasowym systemem wyborczym, z prawami policyjno-sądowymi przysługującymi szlachcie zamieszkałej na wsi, przedstawiają typ państwa absolutystyczno-feodalnego i nie mogą być porównywane z ściśle demokratyczną Francją—o tyle, na punkcie zależności i niedorozwoju samorządów lokalnych kraje te są bardzo do siebie zbliżone. Szeroka władza Francuskich prefektów i pruskich landratów niema w Anglji żadnego odpowiednika i jest tam wprost niezrozumiałą. Następnie—zarówno w Prusach, jak i we Francji—biurokracja jest postawiona ponad prawem ogólnym i konflikty władz pomiędzy sobą, jak również obywateli z władzami—należą do kompetencji specjalnych trybunałów administracyjnych, kierujących się osobnym prawem administracyjnym. Słowem—inne są prawa dla zwykłych śmiertelników, inne zaś, pobłażliwsze, dla biurokracji. Zamiast samorządów lokalnych, mamy we Francji i w Prusach rządy biurokracji, która potrafiła w znacznym stopniu się uniezależnić zarówno od ciągle zmieniających się ministrów, jak i od ciągle podróżujących monarchów. Oczywiście — duch, ożywiający biurokrację francuską i pruską jest inny, ale metoda rządzenia z góry — ta sama.

Stany Zjednoczone — o ile można mówić o nich, jako o całości, uogólniając jakieś pięćdziesiąt odmiennych prawodawstw — mają samorządy lokalne dość rozwinięte, oraz sądownictwo niezależne, a jednakowe dla obywateli i dla urzędników. Jednak plagą amerykańskich municypalności jest ich szalone rozpolitykowanie, oraz traktowanie zdobycia większości w radzie miejskiej przez partję, jako „łupu wyborczego". Walka z tą plagą jest trudna, gdyż opinja publiczna nie dość silnie ją potępia. W Anglji — na szczęście— nie udało się zidentyfikować partji lokalnych z partjami politycznymi, a duże wyrobienie polityczne obywateli uniemożliwia wszelkie szacherki urzędami i na urzędach.

Te kilka słów nie mają bynajmniej na celu streszczenia dzieła prof. Ashley'a. Jest ono zbyt obszerne na to, aby je streszczać, zbyt źródłowo i przejrzyście napisane, aby je krytykować, Idzie mi tylko o to, aby przekonać czytelnika, iż każdy kogo interesuje polityka (a takich pono mamy legjon) powinien tę książkę przestudjować.

Karol Łodzia.

Jerzy Kurnatowski. **Robotnicze Związki Zawodowe.** Praktyka i Teorja.

Kurnatowski od blisko lat 10 zasila nasze ubogie piśmiennictwo naukowe pracami z dziedziny ekonomicznej, poruszając w nich najżywotniejsze zagadnienia ostatniej doby.

W wydanej przed rokiem pracy p. t. *Rozejm pomiędzy pracodawcami a pracownikami* kreśli on obraz instytucji rozjemczych na Zachodzie, mówi o rozwoju i organizacji takich instytucji w Anglji, o francuskich Radach Biegłych, o wzorowanych na nich Sądach przemysłowych w Niemczech i Kolegjach Uczciwych Mężów we Włoszech, o powstałej w Amerykańskich Stanach Zjednoczonych Narodowej Obywatelskiej Federacji, podnosi wreszcie najwyżej pod względem organizacji stojące instytucje rozjemcze Nowej Zelandji, stwierdzając, że zarówno inicjatywa stron zainteresowanych, jak inicjatywa opinji publicznej i wreszcie państwo drogą nieustannych doświadczeń i postępu wytwarza coraz doskonalsze formy regulowania stosunków pracodawcy do pracownika.

Aby jednak instytucje rozjemcze mogły się rozwijać i spełniać właściwe swe zadanie—regulatora stosunków pomiędzy pracodawcą a pracownikiem, trzeba aby ten ostatni nie stanowił oderwanej jednostki, trzeba by pracownicy organizowali się w Związki Zawodowe.

Tym właśnie Związkom zawodowym poświęca K. ostatnią swą pracę.

Określiwszy Związek zawodowy jako stowarzyszenie osób pracującyh w jednym lub pokrewnych sobie zawodach i mające na celu pedniesienie materjalnego dobrobytu, oraz fachowej umiejętności swych członków, autor śledzi koleje, jakie stowarzyszenia takie w różnych krajach przechodziły, zanim przybrały dzisiejszą swą postać.

Ruch rewolucyjny, jaki nasze społeczeństwo przechodziło w 1905 r. i cechujące go stosunki pomiędzy pracownikami a pracodawcami—nie jest faktem oderwanym w historji ekonomicznej narodów; przez okres podobny przechodziły wszystkie państwa Zachodniej Europy, acz w różnych latach: Anglja w r. 1830, Francja i Niemcy w 1848, Stany Zjednoczone najpóźniej, bo w 1870 r. Ruch ten budzi wszędzie w warstwie pracowników poczucie samoobrony i zrozumienie konieczności jej organizacji.

Stopniowo ruch zapoczątkowany przez robotników wykwalifikowanzch rozchodzi się szeroko pośród robotników wielkich zakładów przemysłowych, ogarnia robotników rolnych, handlowców, udziela się najemnikom pracy umysłowej i artystycznej, a ostatecznie i najemnikom, pracującym na rachunek nowożytnych wielogłowych pracodawców, jak państwo demokratyczne, władze miejskie i kooperatywy.

Wszystkie związki zawodowe mają w ogólnych zarysach tę samą organizację: początkowo, jako pierwszy stopień, związek lokalny robotników jednego zawodu, dalej federacja takich związków w danym kraju,—ostatecznie zaś federacja federacji, obejmujęca wszystkie zawody danego kraju

Najwyższą władzę stanowi ogólne zebranie członków, —powszechnie przyjętym w nich systemem jest głosowania prostą większością głosów.—Mamy tu przeto do czynienia nie z parlamentaryzmem, gdzie o losach ludu stanowią jego wybrańcy, lecz z bezpośrednim ludowładztwem, napotykanych w niektórych Szwajcarskich Kantonach.

Kongresy, złożone z delegatów, rozpatrują kwestje, dotyczące ruchu zawodowego i jego zadań. Dzięki tym kongresom ruch zawodowy zrozumiawszy konieczność swej odrębności, uniezależnia się od partji politycznych.

Wszędzie bowiem rozwój związków zawodowych idzie pokrewną drogą;—początkowo istnieją one w łączności z ruchami społeczno-politycznymi, a element robotniczy jest jedynie materjałem w ręku przywódców z inteligencji, dążących do obalenia z jego pomocą panującego ustroju społecznego.

Stopniowo gwałtowność akcji tych przywódców zniechęca do nich członków, tracą ich mir, następuje rozwaga: wytwarza się właściwy pogląd na Związki zawodowe, jako na czynnik regulujący stosunek najemnika do najmującego.

To też dziś już bezpartyjność powszechnie niemal uznana została za niezbędny wprost warunek rozwoju Związków Zawodowych, a najoczywistszym tego dowodem są cieszące się najlepszymi rezultatami najszczerzej i najściślej bezpartyjne Zw. Zawodowe angloamerykańskie. To samo powiedzieć można o wyznaniowych Związkach Zawodowych.

Autor słusznie atoli czyni zastrzeżenie, że mówiąc o bezpartyjności Związków nie pragnie bynajmniej zasklepiać robotnika wyłącznie w jego interesie zawodowym, ani czynić go obojętnym na partje polityczne, lub wyznania religijne czy szkoły filozoficzne, kwestje te wszakże nie powinny być traktowane w Związkach zawodowych, które muszą się specjalizować i właśnie w granicach tej specjalności wywalczać sobie niezależność.

Specjalnością zaś Związków Zawodowych musi być zawsze obrona ekonomicznych interesów najemnika wobec najmującego, samopomoc robotnicza i wykształcenie zawodowe.

Coraz więcej miejsca w programie Związków zajmuje obok obrony interesów ekonomicznych najemnika, dążność do podniesienia wykształcenia zawodowego. Jak wiadomo, kolosalny rozwój przemysłu angielskiego i amerykańskiego w znacznej części tłomaczy się wysokim poziomem wykształcenia zawodowego pracowników. Wreszcie pomoc wzajemna w postaci ubezpieczenia od choroby, kalectwa. starości i prawdziwej klęski zawodowej—braku roboty—pozostanie zawsze zadaniem, w którym Związkom Zawodowym przypaść musi poważna rola.

Książka pisana przystępnie i zajmująca, a obfitująca w bogaty materjał dowodowy, znaleść się powinna w ręku każdego inteligentnego czytelnika, interesującego się sposobami pokojowego rozwiązania konfliktu pomiędzy kapitałam a pracą.

Z. Kosiewicz.

NA DOBIE.

Programy a hasła.

Czy, istotnie, kampanje, odgrywane na łamach dzienników Warszawskich są wojną papierową, pozbawioną głębszego znaczenia? Czy, naprawdę, cała polityka Warszawska to tylko humbug próżnujących kandydatów na mężów stanu, uprawiany z powodzeniem na zewnątrz, aby—myślano, że polacy nie zatracili biegłości w kunszcie politycznym? Tak mówią sceptycy.

Ale niesłusznie.

Niesłusznie, bo społeczeństwo polskie ma cały szereg kultaralno-społecznych potrzeb i odczuwa dotkliwy brak obrony zagrożonych placówek.

Niesłusznie, bo w tym celu są konieczne kadry społeczno-polityczne organizacji, posiadających niezmiernie doniosłe zadania.

Niesłusznie, bo manifesty tych stronnictw składają się z pojęć, urabiających w ten czy inny sposób opinję publiczną.

Niesłusznie, bo opinja publiczna w Polsce nie jest fikcją bynajmniej, wykazuje to choćby historja lat porozbiorowych, przeciwnie, jest żywym promotorem ewolucji społeczoej w opłakanych zresztą warunkach.

W czym że tkwi podstawa tych zgubnych dla nas pozorów?

Czemu prowadzimy hałaśliwą politykę wtedy, kiedy nie potrzeba i milczymy, kiedy wydanie głosu jest konieczne?

Kwestja narodowej samoobrony bojkotu szkolnego wzbudza u nas burzę w szklance wody i rozterkę metod politycznych, kwestja, ze swej natury taka, zdawałoby się, w której niema miejsca na politykę, w której cały naród jak jeden człowiek powiwien stanowczo powiedzieć swoje „tak" albo „nie".

Gdyby kwestja bojkotu szkolnego powstała w Czechach, czyby tam politykowano?

Nie!...

I nietylko ucisk polityczny, zniewalający do sprowadzenia życia narodu do bardzo wązkiego zakresu działania jest przyczyną tego, że nasze papiery polityczno-społeczne wyglądają jak fikcyjne, wydmuchane...

Nietylko to, że społeczeństwo niesamoistne, nieautonomiczne, odzwyczaja się od samodzielnego o sobie stanowienia.

Umyślnie wziąłem, jako przykład, Czechy, które znajdują się w warunkach mniej lub więcej podobnych bo przedewszystkim muszą się bronić...

Przyczyny tkwią w samym układzie stosunków społecznych, w samej psychologji narodu.

Polski organizm społeczny nie posiada centralnych ośrodków mózgowych... Ulubioną formą naszego czynu są odruchy, refleksy.

Stąd w polityce brak *programów* i obfitości *haseł*. Narodowa—Demokracja, osławione stronnictwo zgubionego programu, fundowała swoją działalność na popularności haseł... Najmniej pewny to fundament.

Jedno drugie hasło zawiodło i stronnictwo—fikcją! Zgoła wykluczony jest podobnie smutny proceder tam, gdzie cementem wiążącym dany dobór ludzki jest interes.

Tam niepowodzenie, bodaj szereg niepowodzeń nie prowadzi do bankructwa, jakkolwiek pomyłki mogą osłabiać siły. Prawidłowe zrozumienie interesu tworzy program, krytyczne zaś stosowanie programu—taktykę stronnictwa.

Nie może być mowy w społeczeństwie uświadomionym i zorganizowanym o odruchach, o tym automatyzmie psycho-społecznym, jaki cechował działalność polskich stronnictw. Mylą się ci fałszywi prorocy, którzy starają się zamydlić istotę tego przykrego zjawiska tak pięknymi wyrazami jak np. *karność, solidarność* etc. Karność społeczna — to sprawne, że weźmiemy pojęcie najbardziej krańcowe, działanie mięśni i nerwów, jeżeli rozkaz, wyobrażający pierwiastek czynnej woli idzie od centralnego mózgu, skontrolowany przez świadomość...

Trzeba tedy, by mózg ten działał przedewszystkim, nie dając ciału działać odruchowo...

Obecna sytuacja społeczno-polityczna nasuwa sporo materjału dla latwego i taniego sceptycyzmu. Tylko ludzie małej wiary i małego ducha pójdą za jego przewodem.

Jak dusza dziecka pod wpływem doświadczeń, kształtuje się dusza narodu, mózg jego nabiera wagi i rozrasta się

Społeczeństwo polskie miało dotąd bardzo złych wychowawców, którzy z nauki politycznej urobili coś nakształt czarnej magji.

Czas wielki istotnie, aby znaleźli się ludzie, którzy dla jasnych i otwartych celów umieliby prowadzić gościńcem kamienistym, ale zato prostym.

Czas na wycofanie fikcyjnych papierów, których istnienie wytwarza niepochlebne dla polaków pozory. Czas na generalną konsolidację ideową.

Ideolog.

Wielkości „chwili bieżącej".

Nasze pisma ilustrowane w zabiegach konkurencyjnych i w chęci zjednania tych kół czytelników, których jałowe mózgi nic wchłonąć i przetrawić nie potrafią, wprowadzili „chwilę bieżącą", która ma w ilustracjach odzwierciedlać życie. Jeżeli np. odbywa się zjazd lekarzy, czy przyrodników, wystawa lotnicza, przemysłowa i t. d., to się podaje zazwyczaj grupę uczestników lub organizatorów. Ma to dawać pojęcie o wystawie lub o ważnych obradach i uchwałach, obchodzących kraj cały. Próżno czytelnik będzie szukał jakichkolwiek szczegółów, chociażby pobieżnych o jakimś zjeździe ważnym! Wystarczają portrety uczestników zjazdu lub. . bankietu. Dla tych, co znają zakulisowe strony tego odłamu prasy, której całą ideją jest „interes" dobrze procentujący, jest zrozumiałe takie traktowanie życia bieżącego. Chodzi tu nie o to, ażeby się czytelnik coś dowiedział o życiu bieżącym, lecz o to, ażeby sportretowany uczestnik bankietu, uważanego przez pismo ilustrowane za najuroczystszą chwilę zjazdu, wystawy, otwarcia resursy i t. d.,—mógł kupić numer ze swoim portretem, z kieliszkiem w ręku, lub w zaszczytnym towarzystwie „pana prezesa", biskupa, albo księdza.

Można byłoby z pobłażliwym uśmiechem przejść nad tym do porządku dziennego, gdyby nie to, że takie traktowanie „chwili bieżącej" jest szkodnictwem społecznym. Dawniej pisma ilustrowane podawały potrety ludzi istotnie zasłużonych, a więc uczonych, literatów, profesorów, działaczów społecznych lub chociażby nawet hojnych ofiarodawców. Dziś każdy może mieć swój portret, jeżeli posiada—wolant, którym wozi się organizatorki „dnia kwiatów" (*vide* Częstochowa!)

Kto już u nas nie był portretowany?! Członkowie różnych komisji i podkomisji, organizatorowie drzedstawień amatorskich, wodzireje i... bandyci! Dziś może być sportretowanym a więc „sławnym" każdy. Dość jest okraść kasę albo w ostateczności chociażby się ożenić lub wyjść za mąż, o ile się ma kilkanaście rubli na umieszczenie podobizny „szczęśliwej i dobranej pary" (w dziale inseratowym). Jaki to ma wpływ etyczny i duchowy w życiu, i tak już nazbyt jałowym, zbyteczna dowodzić. Dawniej pisma iiustrowane braliśmy do ręki z ciekawością. a w latach młodocianych nawet z namaszczeniem. Dziś bieżemy z niesmakiem lub uczuciem... wstrętu.

Nowe ograniczenia

Nowy kierownik ministerjum oświaty trzyma się systemu swych poprzedników, który jest główną zasadą i ideją przewodnią tego organu sterniczego w dziedzinie oświatowej: *ograniczenia.* Wszelkie okólniki, wszelkie doraźne zarządzenia ministerjum oświaty od dawien dawna mają za swą podstawę—ograniczenia. To też nie jest dla nas piorunującą niespodzianką wiadomość, podana w pismach, że ministerjum oświaty opracowywa projekt ograniczeń dla eksternów, bez różnicy wyznań. Srodki, krępujące zdobycie opatentowane wiedzy, pochodzącej nie z rządowych zakładów naukowych, mają polegać na tem, że eksterni nie będą dopuszczani do tych wyższych zakładów naukowych, w których istnieją egzaminy konkursowe. Tym sposobem ministerjum oświaty na drodze stałych przepisów pragnie zdobyć to, co dziś się robi bez wszelkich przepisów, jedynie na mocy idei, prowadzącej do ograniczeń. Eksterni wogóle, czy to przy egzaminach na maturę, czy przy zabiegach o przyjęcie do wyższych zakładów naukowych rosyjskich, są stale narażani na utrudnienia. O ile więc nowe ograniczenia będą opracowane i wejdą w życie, co jest tysiąc razy pewniejsze, niż wprowadzenie środków, ułatwiających oświatę,—to przynajmniej młodzież, kształcąca się poza murami szkół rządowych, uniknie przykrych niespodzianek i zawodów. Będzie bowiem wiedziała z góry, jakie zakłady są dla niej zamknięte i do jakich nie wolno kołatać, nawet przy gruntownej wiedzy i wybitnych zdolnościach.

Przejaw „kultury słowiańskiej."

Niedawno Mieńszykow, rzecznik opinji reakcyjnej społeczeństwa swego i biurokracji rządowej wyraził swój oryginalny pogląd na ideę słowiańską i zaznaczył, że słowiańszczyzna—to Rosja, jako państwo liczące 100 miljonów rdzennej (?) ludności rosyjskiej. Może się tedy ona wyżywić własną kulturą, bez potrzeby posługiwania się kulturą innych słowian i każenia krwi rosyjskiej przymusowym lub mimowolnym powinowactwem z nimi. Rosja tedy jest sama w sobie słowiańszczyzną; z nią się liczy cały świat cywilizowany, uznaje i wchłania jego promienie duchowe pod postacią nauki i literatury. Żaden naród, jak twierdzi Mienszykow, nie wydał tylu uczonych i literatów, co Rosja. Taką, najmocniejszą u wszystkich ludow cywilizowanych armją, bo stanowiącą duchową siłę narodów, szczyci się przedstawiciel reakcji biurokratyczno-społecznej w Rosji.

Dziwnym zbiegiem okoliczności jednocześnie z tą chełpliwością p. Mienszikowa, ta sama biurokracja, której poglądów i dążeń on jest wyrazicielem, zburzyła najwspanialszą twierdzę tej armji duchowej:

Towarzystwo literatów rosyjskich („Litieraturnyj fond“), które istotnie stanowiło chlubę Rosji.

Towarzystwo to przetrwało najstraszniejsze chwile ucisku przedkonstytucyjnego, wszelkie burze i szał reakcji konstytucyjnej. Na szerokim polu połamanych, zgruchotanych kolumn kruchej kultury, na rumowiskach wynikłych z pogromu reakcyjnego, stała dumnie ta twierdza wspaniała i mocna. Jednoczyła ona literatów i uczonych całej Rosji, rozporządzała znacznymi funduszami na wsparcia, emerytury, wydawnictwa. Słowem, nie tylko strzegła rzeczywistej kultury rosyjskiej, ale stanowiła potężny czynnik dla jej rozwoju w przyszłości. I oto niema jej już na powierzchni ziemi. I za jakież to zbrodnie administracja uciekła się do sądu polowego i skazała na śmierć instytucję, którą Rosja szczyciła się przed światem cywilizowanym?—Za to, że uchwalono potępienie zachowania się profesorów uniwersytetu (którzy byli także członkami tej instytucji), oraz za... ankietę w sprawie położenia prasy!..

W salonie.

Wiedzą już panie o przygodzie X-owej? Na gorącym uczynku!...

— Brr! A ja wczoraj jeszcze się z nią całowałam u państwa N.

— A ja wiedziałam już wczoraj i parsknęłam jej publicznie w oczy głośnym smiechem na koncercie. Niech panie sobie wyobrażą jej minę. Biedaczka zapewne wolałaby, ażeby pod jej stopami ziemia się rozstąpiła...

...Więc jakże będzie z naszą zabawą dobroczynną? Czy już członkowie komitetu są w komplecie?

— Są, oczywiście, z wyjątkiem pani X-owej, którą wykreśliliśmy.

— Ale, ale!. Jeszcze należałoby zaprosić znaną artystkę dramatyczną J.

— Co?! artystkę!! To ja się wykreślę z listy komitetu! I ja!... I ja!...

Wchodzi lokaj, podaje liścik pani, (która wczoraj parsknęła śmiechem) i szepce dyskretnie:

— Ten pan czeka na dole.

— Powiedz, że zaraz!... A więc do jutra miłe panie! Ja śpieszę: muszę odwiedzić chorą dyrektorową...

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* *Kurjer Poranny* zastanawia się dość szeroko nad przyszłym przymierzem polsko-ukraińskim, podając wywiad redaktora krakowskiego *Kurjera Codziennego* u posła z radykalnej partji ukraińskiej — p. Trylowskiego. Tenże twierdzi, iż Ukraińcy będą skorzy do porozumień pokojowych, szczególniej po klęsce wyborczej niszczącej wszystkie dotychczasowe zachody rozjemcze—endeków. Mówi on, że głównym punktem paktów—będzie sprawa wszechnicy ukraińskiej we Lwowie, zwiększenie szkół ukraińskich wszelakiego rodzaju i mandaty poselskie w reformie wyborczej do sejmu. Wkońcu przywódca „Siczy“ wyjawia, iż kamieniem węgielnym niezgody dwóch dziejowo pokrewnych szczepów jest wzajemna ignorancja, a właściwie nieznajomość dążności Młodej Ukrainy, wśród naszej inteligencji. Oto według niego:

> Jako pierwszy krok do zbliżenia się ze strony polaków pragnąłbym widzieć—zapoznanie się waszego narodu z literaturą ukraińską. Już to zbliżyłoby oba narody.
>
> Obecnie bowiem rzecz cała stoi tak: My was znamy, wy nas nie znacie. Jak długo ta anomalja nie będzie usuniętą—czyż można nawet marzyć o prawdziwej zgodzie i o prawdziwem braterstwie narodów?..

Po przeczytaniu tego przychodzi na myśl, iż jeszcze chyba większą anomalją była dotychczasowa walka z budzącym się do życia narodowego i kulturalnego żywiołem ukraińskim—nam tak dziejowo i etnicznie blizkim—gdy go się przecież bliżej nie poznawało i poznać nie chciało...

Następnie *Kurjer Poranny* w trafnych słowach mówi, iż jeno demokracja czyli ludowładztwo usunie wzajemne szczucie się narodów, gdyby czworonożnych w wielkiej psiarni...

Oto jego słowa:

> „Dopóki istnieje u nas ta ignorancja, dopóki u nas warstwa klerykalno-zacofanej większej własności nadaje ton życiu publicznemu, dopóty wszelkie działanie ugodowe istotnie spotykać się musi z szeregiem trudnych do zwalczenia przeciwności.
>
> „Każdy krok kierunku demokratyzacji polskiego społeczeństwa jest krokiem ku polsko-ruskiej ugodzie— oświadcza słusznie ukraiński przywódca p. Trylowski, uważając, że stworzenie polskiej radykalnej i antyklerykalnej partji byłoby błogosławieństwem dla obu szczepów. Jedynie duch prawdziwego demokratyzmu usunie nieporozumienia. To też wybór we Lwowie dwóch posłów postępowo-demokratycznych pp. Lisiewicza i Śliwińskiego jest zapowiedzią zmiany na lepsze, a klęska wszechpolaków, którzy głównie przyczynili się do szczucia obu narodów na siebie, wzmacnia nadzieję.
>
> Bądź co bądź hasło ugody polsko-ruskiej weszło na porządek dyskusji dnia w Galicji. Witamy to hasło całem sercem. W epoce przesilania się dawnych zagryzań się narodowościowych może danem będzie naszemu narodowi, w rozwinięciu wielkiej myśli przodków, w ostatecznym rozkwicie posiewów horodelskich i lubelskich, dać przykład jednolitej spójni narodowej, opartej na różnorodnych pierwiastkach etnicznych. Narody szwajcarski i amerykański stanowią już takie przykłady szczęśliwe i piękne w swoim twórczym i płodnym patrjotyzmie; naród polski może tylko skrzepić się wewnętrznie, jeśli wchłonie w siebie organicznie równouprawnione i samoistne odrębne kultury narodowe, które zakwitły w jego dziejowem łożysku...

P. Trylowski mówi, iż „każdy krok demokratyzacji polskiego społeczeństwa jest krokiem ku polsko-ruskiej ugodzie“, a więc może po moralnym bankructwie na całej linji naszej endecji, powołane do tego czynniki (naprz. jak w Galicji: Polskie Stron. Postęp. i Pol Par. Socj. Galicji i Ślązka) pokierują kroki naszego społeczeństwa do przymierza z Ukraińcami, a tym uczynią krok naprzód w rozwoju demokratycznym.

* *Głos Ludu Slązkiego* wydawany w Dąbrowie (Śląsk Ciesz.) niesie w swym ostatnim numerze wymowny „Głos obywateli z Dziećmorowic“, w którym autor przedstawia opłakane warunki polskiego szkolnictwa w tej czysto polskiej wiosce o malowniczym nader położeniu i 3,500 dusz ludności. Oto co pisze:

> „Przed 70 laty założono w Dziećmorowicach czeską szkołę, która obecnie jest sześcioklasową, a nadto w przysiółku Dziećmorowic—Kąkolnej—wybudowali Czesi dwuklasową szkołę. Cel obydwóch szkół jest polityczny, a mianowicie czechizowanie polskiego ludu w Dziećmorowicach, w skład którego wchodzą również wychodźcy z Galicji, których liczba wraz z rodzinami dochodzi do stu.
>
> Rezultatem czechizacji dwóch czeskich szkół przy pomocy p. Bobowskiego z Frysztatu, do którego kompetencji należą Dziećmorowice, jest to, że większa połowa mieszkańców Dziećmorowic przyznaje się do narodowości czeskiej, mówiąc: „Nie jestem Czechem, ani Polakiem, ale trzymam za czeską stranką, bom skończył czeską szkołę“— tak powiadają zczechizowani Polacy w Dziećmorowicach zwani powszechnie na Śląsku „pyrcokami“.

Aby położyć zasłużoną tamę czechizacji „Macierz Szkolna“ w r. 1904 zakłada tu prywatną oczywiście szkołę polską.

Pomyślnie rozwijająca się szkoła polska jest solą w oku tutejszych prowodyrów czeskich, dlatego od samego początku jej założenia aż do dnia dzisiejszego jest przedmiotem prześladowań, szykan i intryg, o czem swego czasu obszernie pisaliśmy. Dziś nadmieniamy, że polakożerczy wydział gminny, mimo licznych naszych próśb i strajków szkolnych, oraz orzeczenia c. k. komisji, stwierdzającego konieczność polskiej szkoły w Dziećmorowicach, nie chce nawet słyszeć o przejęciu polskiej szkoły prywatnej na etat gminny, a na prośbę „Macierzy" w Cieszynie, odpowiedział kategorycznie, iż szkoły polskiej nie przyjmie i w żadne pertraktacje wdawać się nie będzie. Tak po „bratersku" postępują z Polakami osławieni Czesi w Dziećmorowicach których główni macherzy, opanowawszy Wydział gminny, nie dali na polską szkołę ani halerza, lecz co gorsza i smutniejsza rzecz, to właśnie to, że oszczerczemi wieściami wśród miejscowej ludności i u władz starają się podkopać powagę, jak również egzystencję polskiej szkoły, by módz swobodnie czechizować polski lud w Dziećmorowicach.

Na staranie „Macierzy" — aby tę szkołę polską przyjąć na koszt gminy, składającej się przecież również z krwawo pracującego na chleb polskiego górnika i rolnika, a więc mającego prawo żądać szkoły ojczystej kosztem grosza składanego przezeń w postaci wysokich podatków żadnej nie otrzymywano odpowiedzi...

Bo prośby spoczywały bez żadnej zgoła odpowiedzi w biurku „c. k. Rady szkolnej w Opawie". Dalej autor kończy swój przyczynek do „braterskich" stosunków „wielce pokrewnych szczepów słowiańskich" następującymi słowy:

Gdzież więc sprawiedliwość i jaka taka uczciwość Czechów?! Tak przecież dalej być nie może — władze muszą poczynić w sprawie szkół mniejszości narodowych rychłe i energiczne kroki!

Prośba do naszych pp. Posłów!

Znając z długoletniego doświadczenia że czeski wydział gminny w Dziećmorowicach odnosi się stale wrogo względem polskiej szkoły, upraszamy przeto gorąco wszystkich pp. Posłów ze Śląska, jak również Koło polskie o łaskawą interwencję u władz w sprawie polskiej szkoły w Dziećmorowicach.

Ciekawe czy ten donośny krzyk trafi nareszcie do serc poselskich naszego nowego „Koła"?

— Bo dotąd „ojcowie narodu" zachowywali w tych ważnych sprawach karygodną wstrzemięźliwość, krępując na dodatek ustawą „Koła" działalność, posłów śląskich chcących „coś" uczynić dla swych wyborców. Za to — pozostający poza „Kołem" i wielce krępującemi jego ustawami — socjaliści polscy, czynili wiele usiłowań przed forum parlamentarnym gwoli podniesienia doli polskiego ludu z dzielnicy piastowskiej — Śląska...

* *Społem*, tygodnik, poświęcony sprawom kooperacji, a prowadzony nader żywotnie pod redakcją Stanisława Wojciechowskiego, skarży się w n-rze ostatnim na doktrynerstwo i formalizm skrajnych fanatyków „marksizmu" miejscowego, który pod szyldem haseł dogmatycznych, w gruncie, przeciwstawia się biegowi postępującego naprzód życia. Nasi „marksiści" zwalczają ruch współdzielczy, jako zły, lichy i szkodliwy społecznie, dlatego tylko, że nie oni byli jego inicjatorami, że wyrasta i rozwija się poza nimi. Gdzieindziej atoli, tam gdzie socjaliści oprócz ślepej wiary w siebie, mają także pewien zasób kultury jest inaczej:

Socjaliści wszystkich krajów europejskich uznali już dzisiaj, że ruch współdzielczy wychodzi na korzyść klasie robotniczej. Ale pewne odłamy, socjalistów u nas, i to właśnie te odłamy, które krytykują wszystko w Polsce, wykazując, jak nizko stoimy w porównaniu z Europą — w tym wypadku nie spostrzegli, że należałoby najpierw u siebie wymieść zatęchłe śmieci, zeuropeizować się, stanąć na tem stanowisku, na jakiem stoją partje europejskie. Są ludzie którzy wszystkich pouczają, sami niczego nie umiejąc; którzy wszystko naokół krytykują, nie mając odwagi krytycznie spojrzeć na siebie; którzy miotają się na wszystkie strony z pianą na ustach, jakby się najedli blekotu. To ludzie biedni i chorzy.

Biedni i chorzy! — oto jedyna istotnie djagnoza, jaką postawić można, czytając złośliwe a szalone ataki demagogów, zwalczających kooperację lub na zmianę podkopujących Tow. Kult. Pol.

* Kurczy się...

O tym, że panowie „o niebieskiej krwi" i pięknych nazwiskach rodowych nic dla społeczeństwa naszego nie czynią zbożnego lecz jeszcze mu dotkliwie szkodzą — wiemy.

I utwierdzają nas w tym „błogim" mniemaniu nowe, na nieszczęście, aż nazbyt częste zdarzenia sprzedawczykowstwa polskiej ziemi w obce — wrogie ręce...

Po Rydzynie sromotnie zaprzepaszczonej pono przy „pomocy" polskich prawników, znowu słyszymy dzięki korespondentowi warszawskiego *Gońca* o nader przykrym wypadku wyzbycia się na Żmudzi przez polskiego panka hr. Stanisława Czapskiego obszernej ojcowizny.

Oto jak brzmi wyimek z tej korespondencji:

„Gdy, widząc, co się święci i nie wierząc zaklęciom porywczego hrabiego, swoi doń kołatali, pragnąc Berżany uratować, odkupić, właściciel jeno fukał i srodze się gniewał.

— Nie sprzedam nikomu ojcowizny. Nie kuście mnie.

Swoim istotnie nie sprzedał, odmówił stanowczo.

Uległ jednak „urokowi" premjera...

Berżany leżą w najbogatszej okolicy ziemi Kowieńskiej, w żyznym pasie pow. Szawelskiego. Sprzedaje je właściciel bardzo tanio. I słusznie: pozbędzie się ciężaru uciążliwego.

Szczęśliwa ziemia Kowieńska, szczęśliwa Żmudź „święta", jak ją Litwini nazywają!

Wszak to już drugi w niej majątek sam p. premjer kupił, obydwa w pow. Szawelskim.

Ale niebawem posiądzie pan Stołypin i trzeci majątek w Szawelskim, ale już od niejakiego pana Iwanowa, który niedawno na Litwie osiadł i chce czemprędzej wracać do domu.

Po przeczytaniu tego przychodzi nam do głowy mniemanie, iż jeno jaknajszersza demokratyzacja polskiego życia i wydźwignięcie paruset tysięcy drobnych mieszczan i nieuświadomionych chłopów na arenę życia społecznego oprze polskość na Litwie, jako i wszędy, o twarde niezachwiane podwaliny...

* Redakcja *Szczutka* w ciągu ubiegłego półrocza cieszyła się osobliwą uwagą ze strony władz rządowych. W okresie 6-cio miesięcznym zapłaciła różnych kar administracyjnych na ogólną sumę 1200 rb. Jak na pismo humorystyczne—suma istotnie poważna. To też środki jej pieniężne wyczerpać się mogą; humor natomiast się nie wyczerpie, bo oto *Szczutek* niedolę swą pokrywając śmiechem, donosi o szczególnej spółce wydawniczej, jaką mocą faktu, zawarł ze skarbem państwowym: Redakcja ponosi pracę — Skarb pobiera dochody. Publiczność nasza winna postarać się o to, aby *Szczutek* mógł kary płacić nadal — i śmiać się.

Z prasy żargonowej.

* *Kahał przeciw żargonowi.* Głównym motywem nacjonalistycznej prasy żydowskiej jest walka o żargon.

Żargonu używają oni, jako niezbitego argumentu, dowodząc nim odrębności narodowej żydów; żądają dlań równouprawnienia, jako dla języka czyniącego zadość wszelkim ich potrzebom.

Gdy jednak żargonowcom zwraca się uwagę, na to, że za prawdziwy język żydowski mógłby uchodzić jedynie hebrajski, że żydzi w Anglji, Francji, Niemczech i wielu innych krajach wcale nie znają żargonu, że żargon jest

tylko spaczoną niemczyzną, zdobytą przez żydów pod jarzmem niewoli, — wtedy nacjonaliści ogłaszają tych „zuchwałych krytyków" za niebezpiecznych antysemitów, nazywając ich czarnosecińcami, Puryszkiewiczami i tym podobnymi przezwiskami, tak właściwymi stylowi polemicznemu „Haintów".

Teraz atoli przeciwko żargonowi występują już nie jacyś „antysemiści", lecz cały Kahał rosyjsko-żydowskiego miasta K. gub. M.

Podajemy dosłowny przekład kilku ważniejszych ustępów odezwy ogłoszonej w hebr. pismie *Hoywri* p. n. „Rezolucja gminy":

„Poważne zmiany zachodzą ostatnimi czasy w naszym życiu wewnętrznym.

„Stary cheder nie jest już w stanie zadośćuczynić wymaganiom życiowym.

„Ze zbolałem sercem widzimy, jak wychowańcy szkół nieżydowskich w ciągu kilku nawet lat robią znaczne postępy w różnych dziedzinach nauki, gdy tymczasem w naszym chederze dzieci bezustannie uczą się „Tory", męczą się tam od rana do wieczora bez żadnych dla siebiekorzyści.

„A dlaczego i pod tym względem dzieje się nam gorzej niż wszystkim?

„Przekonaliśmy się, iż źródło zła tkwi w tym, że, kiedy u wszystkich narodów językiem wykładowym jest ten, ktorym dzieci myślą i mówią,—język ojczysty, u nas—ku naszemu wielkiemu nieszczęściu—język wykładowy obcy jest wychowańcom chederu.

„Tora—źródło wiedzy Izraela—pisana jest w języku hebrajskim, a dzieci nasze rozmawiają niemieckim żargonem, który się u nas, niestety, nazywa „żydowskim".

„Oto żelazny mur, stojący między narodem naszym, a odwieczną jego kulturą—Torą.

„Musimy zatym wprowadzić w życie prawdziwy nasz język—hebrajski i tym tylko sposobem moglibyśmy dzieci nasze rozwijać naturalnie. Żargon zaś obcym nam jest, jak obcym był naszym przodkom. Nic zatem nie stracimy, jeżeli pokolenia przyszłe zupełnie się go pozbędą.

„Na zasadzie rzeczonej, my, niżej podpisani, ze zgodą całego kahału naszego miasta, postanowiliśmy wprowadzić do szkoły naszej język hebrajski, zakładając cały szereg „hebrajskich ochronek dla dzieci", w którym będą się wychowywały wszystkie bez różnicy dzieci gminy w latach przedszkolnych.

„Z czasem zaś hebrajszczyzna stanie się nie tylko językiem szkoły, ale i ulicy".

Za tekstem następują podpisy rabinatu i przedstawicieli gminy.

Szkoda niestety, że żydzi miasta K. nie wzorowali się na swych współwyznawcach zachodnio-europejskich, którzy z trudnej dla nich zaiste kwestji wychowania znaleźli wyjście nie w przestarzałej, umarłej od wieków hebrajszczyźnie, lecz w języku żywym, miejscowym. Rzecz szczególna, że prasa żargonowa z wyjątkiem *Fraind*a przemilczała tę ważną dla czytelników żyd. „rezolucję", nie chąc widocznie wobec masy żyd. ujawniać „gorszącego" przykładu sprzeniewierzenia się żargonowi.

Z prasy rosyjskiej.

* *Kijewlanin*, pismo wysoce reakcyjne, a więc zdawałoby się, organ, stojący na straży porządków i urządzeń, które utworzyły łapownictwo, czyli tym samym — obowiązany wziąć również w opiekę—łapownictwo, sprawił zadziwiającą niespodziankę, bo wystąpił z bardzo ostrym artykułem przeciwko temu szeroko rozpowszechnionemu „zwyczajowi".

„Zapytajcie zajmującego się interesem Cudzoziemca, co sądzi o urzędniku rosyjskim, odpowie wam z pogardą, z trudnością wymawiane słowo, które jednakże zapamiętał „wziatocznik". Zapytajcie jeśli macie znajomych pośród rosyjskich fabrykantów, właścicieli warsztatów lub dostawców: Czy w ministerjach biorą? — Biorą... W komitetach budowlanych? — Biorą!... Na kolejach żelaznych? — Biorą!... A w intendenturze — Oczywiście... Zdzierają... A w zarządach inżynierji? — Biorą... A w policji? — Oczywiście... A w magistracie miasta stołecznego? — Jeszcze jak biorą!... A gdzie żądają więcej?—Zależnie od zmiany osób również taksa ulega zmianom. —Czy Rewizje senatorskie zmienią cokolwiek pod tym względem?—Naturalnie, już są zmiany... Pewien poczciwy człowiek obiecał załatwić mi coś za 5000 rb., a w tych dniach nagle mówi: mniej, niż 10,000 nie wezmę; trzeba się bowiem ubezpieczyć od rewizji senatorskiej"...

Zmieniło się w tej formie. Inaczej zmienić się nie mogło, gdy wszystko inne, t. j. cały aparat urządzania bytu, wytwarzający łapownictwo, pozostał na miejscu. Zresztą, kto wie, czy z pozostawieniem tego aparatu a usunięciem łapownictwa za pomocą jakichś szczególnych represji, czy sądów polowych, nie byłoby gorzej. Łapówka jest przecież uniwersalna. Daje ona możność obejścia nie tylko praw, ale niekiedy... nawet bezprawia, czyli—za łapówkę można otrzymać czasem prawa, przysługujące obywatelowi państwa, oddanemu na pastwę bezprawia. To też śród ludności budzi niepokój poruszony luźnie projekt pociągania do odpowiedzialności nietylko tych, co biorą, ale i tych, którzy dają łapówki. Wprowadzenie tych represji przeciwko tym czynom, niewątpliwie stanowiącym przestępstwo, z jednoczesnym zachowaniem nadal, ogólnych systemów dotychczasowych utrudni „obywatelom" korzystanie na tej skutecznej drodze z przysługujących im praw obywatelskich...

KRONIKA.

PAMIĘCI ŻYDA-PUŁKOWNIKA. W tych dniach na mogile Berka Josielewicza, znajdującej się na wzgórzu pod Kockiem, a zwanej przez lud Kopcem Berka, stanie skromny nagrobek, ku utrwaleniu pamięci dzielnego żołnierza, i dobrego Polaka.

Bohaterska śmierć pułkownika Berka Josielewicza nastąpiła, jak wiadomo, dnia 8 maja 1809 roku w bitwie stoczonej pod Kockiem z Austryjakami.

Pomnik powstał z inicjatywy i kosztem p. Edwarda Żółtowskiego, obywatela z gub. Siedleckiej który wyrobił pozwolenie władz i po wielu trudach i przeszkodach dzieło szczęśliwie doprowadził do końca.

Podstawą pomnika będzie wyniosły kopiec, rodzaj mogiły, na której szczycie stanie dopiero nagrobek wyciosany z czerwonego granitu krajowego w formie odłamu, bez żadnych emblematów ani plastycznych ozdób i tylko z tym krótkim — zgodnie z zastrzeżeniem ministerstwa spraw wewnętrznych — napisem:

BEREK JOSIELEWICZ
ur. 1760 — zg. 1809.
Tu pochowany.

Dzieło, wykonane w tutejszym rzeźbiarsko-kamieniarskim zakładzie Braci Bartmańskich, pomimo skromnych swych zarysów przedstawia się poważnie, i będzie harmonizowało z ogólną sylwetą kopca.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI. W nadchodzącym roku szkolnym liczba studentów, przyjmowanych do uniwersytetu warszawskiego, będzie znacznie ograniczona wobec tego, że obecnie uniwersytet posiada już 2,000 studentów, mimo iż najwyższe kursy nie funkcjonują jeszcze. W r. 1905. t. j. gdy uniwersytet został zamknięty, ogólna liczba studentów wynosiła 1,600.

STATYSTYKA WSPÓŁCZESNA. Od 14 czerwca do 14 lipca, jak oblicza *Riecz*, — w różnych miejscowościach wydano 13 wyroków śmierci, z tej liczby w samym Irkucku 7. W ciągu pierwszego półrocza r. b skazano na śmierć 93 osoby; stracono zaś 29, z tej liczby w czerwcu 2. Na redaktorów pism nałożono w ciągu tego półrocza 145 kar administracyjnych na ogólną sumę 45,575

rb. — W czerwcu karom administracyjnym uległo 15 gazet na sumę 4,350 rb. Redaktor skazanego na 300 rb. kary *Archangielska* otrzymał drugą karę w kwocie rb. 500 za przyjmowanie od czytelników ofiar na pokrycie pierwszej kary. *Riecz* zaznacza również, że w Jelcu nie pozwolono na otwarcie czytelni: w Kijowie gubernator zażądał od tow. współdzielczych, by nie prenumerowały gazet; w Mińsku nie zalegalizowano klubu handlowców i t. d. Wogóle w ciągu pierwszego półrocza zamknięto i nie zalegalizowano z górą 125 stow. oświatowych.

SKŁAD NOWEJ IZBY POSELSKIEJ W AUSTRJI jest następujący: z pośród 511 posłów znajduje się 1 minister w służbie czynnej (Wacław Zaleski), 6 b. ministrów, 59 adwokatów, 59 dziennikarzy i literatów, 22 duchownych, 40 profesorów, 10 nauczycieli, 9 lekarzy, 1 malarz, 21 sędziów, 5 urzędników politycznych, 41 urzędników publicznych, 36 urzędników prywatnych, 1 radca gminny, 1 oficer na pensji, 7 kupców, 1 robotnik, 14 przemysłowców, 8 techników, 22 rękodzielników, 120 rolników i 13 kapitalistów bez określonego zajęcia. — Klub socjalistów polskich ukonstytuował się, wybierając Daszyńskiego na prezesa, Diamanda, na zastępcę a Moraczewskiego na sekretarza.

TOW. „JEDNOŚĆ". D. 30 ub. m. odbyło się doroczne zgromadzenie walne t-wa oświatowego pracowników kolei Wiedeńskiej „Jedność".

Tow. „Jedność" istnieje lat 5 i liczy 8731 członkkw, a więc mniej więcej $^2/_3$ pracowników kolei Warsz.-Wied. należy do tej pożytecznej instytucji, tym pożyteczniejszej, że krzewi oświatę początkową.

W r. z.uczyło się około $2^1/_2$ tys. dzieci płci obojga; oprócz tego tow. pośredniczyło w opłacie wpisów za dzieci członków, kształcące się szkołach średnich (na warunkach ulgowych), udzielało zapomóg zwrotnych i bezzwrotnych dzieciom członków uczących się w szkołach wyższych i t. d.

Tow. urządzało w r. z. odczyty dla dorosłych i pogadanki dla dzieci; ze sprawozdania widać, że te odczyty i pogadanki nie cieszyły się większem powodzeniem, gdyż uczęszczała na nie mała ilość słuchaczów; niewątpliwie przyczyny tego szukać należy w niedość trafnym doborze tematów, które nie potrafiły zainteresować słuchaczy. Jest też rzeczą smutną, że sprawa ta na zebraniu tym nie wywołała żadnej dyskusji; a przecież sprawa to niesłychanie ważna z punktu widzenia rozwoju kulturalnego, więc dla członków „Jedności" niepowinna być obojętna.

W związku z sprawozdaniem kilku mówców występowało z zarzutami przeciwko zarządowi, zarzuty były drobne i przeważnie nieuzasadnione. Żywsze rozprawy wywołał wniosek Koła 15, by potrącenia z funduszów kół dla zarządu głównego zmniejszyć z 10% na 5%. Wniosek został wreszcie cofnięty, uznano bowiem, że ze skromnego budżetu zarządu nic ująć nie można.

Sprawozdanie z działalności i budżet na r. p. zatwierdzono; z wniosków zasługują na zaznaczenie następujące: upoważniono zarząd do wydania rb. 1.200 na zapomogi zwrotne dla synów członków tow. kształcących się w wyższych zakładach naukowych; upoważniono też zarząd do przyjęcia pożyczki bezzwrotnej od kolei Warsz. Wied. w kwocie 5,000 rb. na budowę szkoły w Koluszkach, darowiznę kawałka gruntu na budowę szkoły w Łazach od p. Michała Poleskiego.

Wybory dały wynik następujący: na członków Zarządu: Czarkowski M., Grajek W., Idzikowski J., Majewski W., Obidko K., Świętochowski I., Zakrzewski A., Śliwicki R., na zastępców członków zarządu: Dębski M., Ziemnicki W., Hącka M., Rutkiewicz R., Szczygielski J., Wagner J., Ochociński I., Wojewódzki F.; na członków komisji rewizyjnej: Bernsendorf A., Kaczyński Z., Kociakiewicz T., Peeł E., Śniechowski J.

PREZYDJUM IZBY AUSTRYJACKIEJ. Na prezesa izby poselskiej wiedeńskiej wybrany został 429 głosami dr. Sylvester, narodowiec niemiecki. 39 kartek oddano białych.

Na wiceprezesów zostali wybrani: German (Koło Polskie) 326 glosami, Conzi (Włoch) 328 głos., Jukel (chrześc.-społ.) 325 gł., Pernerstorfer (soc.-dem) 296 gł.

Na sekretarzy wybrano m. in. Polaków: Jabłońskiego, Łukaszewicza i Ruebeubauera.

POŻAR KONSTANTYNOPOLA. Święto narodowe, ku uczczeniu pamiątki założenia nowoczesnego państwa Ottomańskiego, obchodzone uroczyście w Konstantynopolu zostało w roku bieżącym zakłócone pełną grozy katastrofą. Płomienie, wzniecane ręką niewiadomych złoczyńców objęły olbrzymią część miasta. Trzy czwarte domów zgorzało. O zbrodnie podpalenia opinja posądza członków partji reakcyjnej, dążącej do pogrzebania w gruzach i w zamęcie — konstytucji.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zezwoli Szanowny Pan Redaktor na łamach Twego poczytnego Pisma umieścić nasze wyjaśnienie co do artykułu „Kolonja żargonowców".

Najwybitniejsi działacze społeczni całej Europy dążą do zakładania miast ogrodów. Zachodnia Europa wyprzedziła nas premiowaniem obszarów ziemi w walce z drożyzną mieszkań, nasza tendencja jest ta sama.

Zakupiliśmy małą ilość 36 placów, pozostawiając dużo przestrzeni w tej samej miejscowości dla innych.

Dążeniem Redakcji *der Moment* jest tylko ulżyć niezamożnym mieszkańcom, znaleźć tanie i wygodne locum wśród świeżego powietrza lasów i pól.

Racz przyjąć, Sz. Panie Redaktorze, wyrazy szacunku i uznania z jakimi pozostaję:

Redaktor gazety *der Moment*

H. Prylucki.

OFIARY.

Na szkołę ludową w Gołotczyznie p. Wiwatowski z Warszawy rb. 1.

Książki nadesłane do Redakcji:

Fryderyk Hebbel: „Dzienniki". Wybrał i przełożył Karol Irzykowski. Wydawnictwo „Symposion". Nakładem księgarni polskiej Połonieckiego, Lwów, 1911, str. 230.

Jan Kasprowicz: „Chwile" — poezje. Lwów 1911. Nakładem Tow. Wydawniczego. 1911. Str. 150.

Juljusz Kaden: „Niezguła", powieść. Nakł. księgarni polskiej Połonieckiego, Lwów 1911. Cena rb. 1 kop. 80.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: „Jedyny wróg". — Śród kupitału i pracy, przez Justusa. — Niedorzeczne zarzuty, przez Jerzego Kurnatowskiego. — BADANIA NAUKOWE: Ewolucja wsteczna, przez Alexego Kurcyusza. — Ekonomizm, jako wyłączna metoda badań historycznych, przez Stanisława Leśniewskiego. — Człowiek-Serce, przez Jerzego Jankowskiego. — Thamar, przez Romana Kreczmara. — KRYTYKA: Percy Ashley, profesor uniwersytetu Londyńskiego: Zarząd centralny i lokalny w Anglji, Francji, Prusach i Stanach Zjednoczonych, przez Karola Łodzię. — Jerzy Kurnatowski. Robotnicze Związki Zawodowe, przez Z Kosiewicz. — NA DOBIE: Programy a hasła, przez Ideologa. — Wielkości „chwili bieżącej". — Nowe ograniczenia. — Przeciw „kultury słowiańskiej". — W salonie. — Z PRASY: Z prasy polskiej. Z prasy żargonowej. — Z prasy rosyjskiej. — KRONIKA: — listy do Redakcji. — Ofiary — Książki nadesłane do Redakcji.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.** Redaktor: **Aleksander John.**

Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.